

A black and white photograph showing a man and a woman in a close, intimate pose. The man, with long hair, is wearing a light-colored jacket over a dark shirt. The woman has long hair and is wearing a dark top. They appear to be in a dimly lit room or at night.

1941

Ida Fink



Ida Fink urodziła się w Zbarażu w 1921 roku. W 1942 roku uciekła z getta i ukrywała się do końca wojny. Od 1957 mieszka w Izraelu. Opublikowała m.in. powieść *Podróż*, wydaną po raz pierwszy w 1990 roku, oraz zbiorę opowiadań *Skrawek czasu* (1976) i *Ślady* (1996). W roku 2003 nakładem W.A.B. ukazał się tom jej opowiadzeń zebranych *Odpływający ogród*. Otrzymała nagrodę im. Anny Frank, nagrodę Buchmanna przyznawaną przez Instytut Yad Vashem, a także nagrodę Premio Moravia, ostatnio zaś – Sapir Prize. Jej nazwisko znalazło się na ogłoszeniowej przez National Jewish Book Center w Nowym Jorku liście stu najważniejszych autorów żydowskich. W 2003 roku uhonorowano ją Nagrodą Specjalną Polskiego PEN Clubu. W 2002 na podstawie *Podróży* powstał film w reżyserii Pierre'a Koralnika. *Wiosna 1941* Uri Barbacha to film oparty na wybranych opowiadaniach autorki.

WIOSNA 1941

Ida Fink

W
ab
two

Skrawek czasu

Chcę opowiedzieć skrawek czasu mierzonego nie miesiącami, od dawna chciądam opowiedzieć ten czas i nie tak, jak to uczynię teraz, nie tylko jeden jego skrawek. Chciądam, lecz nie mogę, nie umiałam, bałam się także, że ten drugi czas (ten drugi mierzony już miesiącami i latami), który natłożył się warstwą lat na tamten, spłaszczył go i zniszczył we mnie, lecz nie, kiedy dzisiaj grzebam w rumowisku pamięci, odnalazłam świeży i nietknięty zapomnieniem. Ten czas mierzony nie miesiącami, lecz słowem – który mówił „było to w pięknym miesiącu maju”, *im wunderschönen Mai* – mówili „było to po pierwszej akcji” albo *nat Mai* – mówili „były to po pierwszej akcji” albo po drugiej, albo przed trzecią, inne mieliśmy miany czasu, my inni, zawsze inni, zawsze z piętnem inności, która jednych wbijała w psychę, a drugich w pokorę, my inni, którzy z racji swej imności byliśmy znów skazani, jak nigdyś już w historii, nie

Copyright for this collection © 2001 and 2008 by Ida Fink

Opowiadania pochodzą ze zbiorów:

Skrawek czasu © 1987 by Ida Fink

Notatki do życiorysów © 1996 by Ida Fink

Odpływający ogród © 2001 by Ida Fink

Wydanie I
Warszawa 2009

raz, nie dwa, byliśmy znów skazani w tym czasie mierzonym nie miesiącami, nie wschodem i zachodem słońca, lecz słowem, pojęciem ozna- cającym ruch, działanie, terminem stosowanym najczęściej w odniesieniu do literatury – powieści lub dramatu.

Nie wiem, kto pierwszy użył tego słowa, ci, którzy działałi, czy też ofiary ich działania, ich akcji, kto stworzył zzeń termin techniczny, zastąpił nim pierwszą nazwę – łapanka – nazwę, która z biegiem czasu, z postępem stosowanych środków została zdegradowana (lub wywyższona?), oddzielona od terminu „akcja” granicą rasy. Łapano na roboty. Pierwszą akcję – ten skrawek czasu, o którym chcę opowiedzieć – też nazwaliśmy łapką, choć nikt nikogo nie łapał i każdy z nas udał się niedobrowolnie wprawdzie, lecz z rozkazu, w poranek piękny i czysty, na rynek małego miasteczka, czworobok zamknięty piętrowymi domami, apteką, sklepami z galanterią i żelazem, obramowany chodnikiem o wielkich, kwadratowych płytach, które czas ro- sadzili i spękały (nigdzie już potem nie widziałam tak wielkich płyt), a na środku rynku stał magistrat i tam właściwie, przed magistratem, kazano nam ustawić się w szeregi.

„Nam” napisałam niesłusznie, gdyż nie sta- nęłam w szeregu, choć posłuszną rozkazowi ob- wieszczonemu poprzedniego wieczoru, wyszłam

z domu po śniadaniu spożytym w sposób normalny, przy normalnie nakrytym stole, w pokoju, którego drzwi prowadziły na ogród w mgłach porannych, suchych, złotawych od wschodzącego słońca.

Jeszcze nie dokonada się w nas przemiana, jeszcze z nawyku żyliśmy w dawnym czasie mie- rzonym miesiącami i latami, i w ten łagodny, dobry poranek, pełen suchych, złotawych mgieł, odczy- taliśmy zdanie „zaciąg na roboty” dosłownie, a po- nieważ czytanie między wierszami nieobce jest dojrzałemu człowiekowi, wyobraźnia na miejsce słowa „roboty” podstawiła „obóz pracy”, o któ- rym mówiono, że się buduje w okolicy naszego miasta. Rozkazodawcy znali widocznie doskonale granice naszej – jakże ubogiej – wyobraźni, dlate- go też zaoszczędzili sobie pracy, poprzestając na wydaniu pisemnego rozkazu. Jak dalece nie omy- lili się w przewidywaniu reakcji, dowodzi fakt, że po skończonym śniadaniu, spożyciu normalnie, przy normalnie nakrytym stole, starsi w rodzinie postanowili uchylić się od rozkazu z obawy przed ciężką pracą fizyczną, nie zalecając tego młodym, którzy – gdyby wykryto ich niesubordynację – nie mogliby zasłonić się wiekiem. Byliśmy w stadium infantylizmu.

Ten poranek piękny i czysty, który odgrzebu- ję w rumowiskach mej pamięci, jest wciąż świeży, jego barwy i wonie niezatarte: mgła złocista i sys-

ka, zawieszone w niej czerwone kule jablek i cień nad rzeką wilgotny, o cierpkim zapachu łopianów, i jeszcze sukienka niebieska, która miałam na sobie, kiedy wyszłam z domu i kiedy przy furtce zawróciłam – wtedy, chyba wtedy przeszłam nagie dzięki instynktowi ze stanu infantylizmu w stan naiwnej jeszcze rozwagi – instynktownie, gdyż nie pomyślałam, dlaczego cofam się od furtki wychodzącej na ulicę i wybieram drogę okrężną, przez sad, nad rzeką, drogę zwaną „tyłami”, bo wiodła zapleczem miasta, instynktownie, gdyż w chwili tej nie wieziałam jeszcze, że nie stanę na rynku przed magazinem, może chciałam odwiec tę chwilę, a może po prostu dlatego, że lubiłam rzekę.

Po drodze, staramie dobierając płaskie kamiki, puszczałam kaczki na wodę, a na mostku, za którym otwierał się widok na miasto, usiadłam na chwilę, spuściłam nogi i dyndałam nimi, przyglądałam się swemu odbiciu w wodzie, a także wierzbowiem rosnącym na brzegu. Wtedy się jeszcze nie bałam i moja siostra też nie – zapomniałam dodać, że szla ze mną moja młodsza siostra i ona też puszczała kaczki na wodę, i dyndała nogami nad rzeką, która nazywa się Gniezna, marna rzeźu, osiem metrów szerokości – moja siostra też się jeszcze nie bała, dopiero kiedy poszyliśmy dalej ulicą za mostkiem i kiedy zza węgla narożnego domu skoczył na nas widok rynku, dopiero

wtedy stanęłyśmy nagle i już nie zrobiliśmy kroku naprzód.

Widok, jaki otworzył się nam oczom, nie przedstawiał nic niezwyklego, była to czerń tłumu niby w dzień targowy, ale inaczej, bo tłum targowy jest kolorowy i głośny, gdaczą kury, gęgają gęsi i jest to tłum ruchliwy, a ten był milczący, może tak wyglądał jak na wiecu jakimś, ale chyba też inaczej, zresztą nie wiem. Wiem, że stanęłyśmy nagle i że moja siostra nagle zatrzasnęła się, a jej trzęsienie i mnie się udzieliło, powiedziała „uciekajmy” i choć nas nikt nie gonił, a poranek był nadal czysty i spokojny, pobiegłyśmy z powrotem na mostek, ale już nie widziałyśmy wierzb ani odbicia w wodzie naszych biegących postaci, biegłyśmy dłucho, aż współłyśmy się wysoko na strome zbocze zwane zamkowym, gdyż na szczytowym stanowisku zamka, i na tym zboczu stał stary, zniszczony zamek, i na tym zboczu – ozdobie naszego miasta – usiadłyśmy w krzakach, zdyszane i wciąż się trzęsące.

Z tego miejsca widać było nasz dom i nasz ogród, był taki sam jak zawsze, nic się nie zmieniło, dom sąsiadów, z którego wyszła sąsiadka i zabrzała się do trzepania dywanów. Plask, płask jej trzepaczki dobiegał wyraźnie do naszych uszu.

Siedziałiśmy tam godzinę, może dwie, nie wiem, gdyż właśnie przestał istnieć czas liczący zwykłą miarą, a potem zeszłyśmy stromym

zboczem w dół, nad rzeką i wróciłyśmy do domu, gdzie dowiedziałysmy się o wszystkim, co zaszło na rynku, i o tym, że zabrano naszego kuzyna Dawida, i o tym, w jaki sposób go zabrano i co kazał powiedzieć swojej matce, a to, co kazał powiedzieć, napisał raz jeszcze, już w drodze wyrzucił z auta karteczkę, którą chłop przyniósł wieczorem – ale to było później. Najpierw dowiedziałysmy się, że kobiety wygoniono do domu, kazano zostać samym mężczyznom, i że droga, jaką przebył nasz kuzyn, była odwrotna do naszej, bo nas porządkował tłum na rynku, a jego pryciągnął, i to z siłą ogromną, odwrotnie proporcjonalną do siły jego nerwów, tak że sam niejako zgwałcił swój los, sam, sam, i to właśnie kazał powiedzieć swej matce, a potem napisał: „sam jestem winny, przepraszam cię”.

Nigdy nie przypuszczaliśmy, że należy do gatunku Niecierpliwych, których niepokój i niemożność bezruchu skazują na zagładę, nigdy, bo był pulchnutki i okrągły, mało ruchliwy, taki, którego od książki nie oderwiesz, uśmiechający się nieśmiało, dziewczęco. O jego ostatnich godzinach pełną wiedzę przyniósł dopiero koniec wojny – ów chłop, który przyniósł karteczkę, nie śmiał powiedzieć, co widział, a choć o tym, co widział, i inni przebakiwali, nikt nie śmiał wierzyć, zwłaszcza że posta-

rano się o dowody innej prawdy – dozowano je oszczędnie, z umiarem – której każdy z nas skwapliwie się chwytał, kamuflaż doprowadzony do perfekcji, tyle trudu sobie wówczas zadawał, tyle pozorów stwarzali, że dopiero czas, czas mierzony nie miesiącami i latami, otworzył oczy i przekonał.

Nasz kuzyn Dawid wyszedł z domu później od nas i kiedy doszedł do rynku, wiadome już było – nie wszystkim, co prawda, ale tak zwanej Radzie, z biegiem czasu przekształconej w machine Judenratu – że słowa „zaciąg na roboty” nie mają nic wspólnego z obozem pracy. Pewien przyjaciel, człowiek starszy i przewidujący, kazał chłopcu na wszelki wypadek schować się, a że na powrót do domu było już za późno, gdyż obstawiono ulice, zaprowadził go do swego mieszkania, znajdującego się w jednej z kamienic, którymi otoczony był rynek. Nie przewidując, podobnie jak my, że chłopak należy do gatunku Niecierpliwych, którzy z trudem pokonają potrafią samotność i działając pod wpływem impulsu, zostawili go w pokoju zamkniętym na klucz od wewnętrz. To, co przeżył nasz kuzyn zamknięty w pokoju, pozostało nam zawsze w sferze domysłów. Wiele tłumaczy fakt, że okno pokoju wychodziło na rynek, na ów tłum milczący, na twarze bliskie i znajome, i przypuszczać należy, że w pewnej chwili samotność, na jaką

skazywała go kryjówka, wydała się chłopcu trudniejsza do zniesienia niż wielka i groźna niewiadoma wspólna ma po drugiej stronie okna, niewiadoma wspólna wszystkim zebranym na rynku. Był to zapewne przebłysk myśla: nie sam, razem ze wszystkimi – wystarczył jeden ruch ręki.

Domysły, że powodem opuszczenia kryjówki była obawa przed rewizją mieszkańców, nie wydają mi się słuszne. To niecierpliwość serca, drżenie nerwów, ciężar samotności skazały go na zagładę razem z pierwszymi ofiarami naszego miasta.

Stanął w szeregu pomiędzy aplikantem awokackim a studentem architektury i na pytanie: zauważ? – odpowiedział: nauczyciel, mimo że nauczycielem był krótko i tylko z przypadku. Jego sąsiad z prawej również nie skłamał, skłamał natomiast student architektury, podając się za stolarza, i kłamstwo to uratowało mu życie, ścisłej mówiąc, odroczyło wyrok śmierci o dwa lata.

Siedemdziesiąt osób załadowano do auta, w ostatniej chwili wywleczono z domu rabina – był siedemdziesiątym i pierwszym.

Podchodziąc do aut, defilowali przed szeregią tych wszystkich, którzy nie zdążyli zapoznać się ponownie kartką pisana olówkiem, trudna do odczytania. Po tej kartce mówiono: „oni się wykańcują”.

i że ją przepraszał". Przypuszczalnie już wtedy nie wierzył w to, w co wierzyliśmy później wszyscy, a mianowicie, że jadą do obozu. Miał zatrważającą ostrość przedśmiertnego widzenia. Chłop, który wieczorem przyniósł karteczkę ze słowami: „jestem sam sobie winien, przepraszam cię”, był mruczący i nie patrzył nam w oczy. Mówił, że karcę znalazła na drodze do Lubianek i że nic więcej nie wie, ale wiedzieliśmy, że wie, tylko nie chcieliśmy przyznać się do tego. Odszedł, ale wrócił po wojnie, by powiedzieć, co widział.

Kartka pisana ręką rabina, która nadeszła dwa dni później, przekonała wszystkich, że wywiezieni znajdują się w obozie pracy. Po upływie miesiąca, kiedy brak dalszych wiadomości zdolał osiągnąć nieco wiarę w obóz, nadeszła druga kartka, pisana przez innego z wywiezionych – buchaltera bodajże. Proceder z kartkami urwał się na tym i zastąpiony został składaniem kontrybucji władzom, które daly do zrozumienia, że kilogramy kawy, herbaty, a także złota udostępniają rodzinom wieśniaka bliskich. W dowód laski zezwolono również na wysyłkę paczek żywieniowych dla więźniów, którzy – powiadano – pracują w obozie na terenie Rzeszy. I raz jeszcze, już po drugiej akcji, zjawili się ponownie kartka pisana olówkiem, trudna do odczytania. Po tej kartce mówiono: „oni się wykańcują”.

Niepotwierdzone wieści natomiast, ludzka, szybka plotka, glosily o grzańskiej ziemi pod lasem we wsi Lubianki i o chusteczce do nosa, znalezionej, splamionej krwią; były to wieści bezpańskie, świadków brakło.

Ów chłop, który wtedy nie śmiał, a przeszedł, kiedy wojna się skończyła, powiedział wszystko. Odbyło się to w tymże wspomnianym przez plotkę lesie, rozległym, niemłodym, osiem kilometrów za miastem, w godzinę po opuszczeniu przez auta rynku. Sama egzekucja trwała krótko, więcej czasu zajęło uprzednie kopanie grobu. Za pierwszym strzałem nasz kuzyn Dawid, pulchny, okrągły, niezręczny do gimnastyki i sportów, wdrapał się na drzewo, ramionami jak dziecko matkę objął pień i tak zginął.

Alina i jej klęska

Dwa tygodnie po zajęciu miasta przez Niemców przyjaciel Aliny poprosił ją, by poszła do jego mieszkania i w delikatny, niebudzący pojęjeń sposób wybadała gospodynę, czy Niemcy bądź Ukraińcy nie szukali go oraz – o ile taki fakt zaistniał – czy nie przeprowadzili rewizji w podnajmowanym przez niego pokoju. Przyjaciel Aliny, dziennikarz, był autorem kilku ostrych antyhitlerowskich artykułów.

Była to prośba ciężkiej wagi. Każde wyjście za próg domu stawało się w tych dniach drogą w nieznane, a raczej w nieznaną bliżej zgubę, której, co prawda, nie chroniły również ściany pokoju. Jednakże nawet pozorne odgrodzenie się od zewnętrznego świata stwarzało flikcję bezpieczeństwa, co w owych czasach znaczyło niemało. Alina, usłyszawszy prośbę Antoniego, wstała z tapczanu, na którym oboje leżeli po obiedzie

(od dwóch tygodni jedli kartofle posypane cynamonem, kartofle pryniość Antoni, zapas cukru miała Alina), i podeszła do lustra, by umalować twarz. Wychodziła teraz – a zdarzyło się to dwa lub trzy razy – zawsze bardzo starannie zrobiona, czerniąc rzesy, nakładającą róż, a także ubierała się starannie i elegancko. Ta dbałość o wygląd zewnętrznego miała podobno mydlić oczy.

Czerniąc brwi, spostrzegła, że jest bardzo blada i że ręka jej drży.

– Czy to konieczne? – spytała, nie przerywając makijażu. – A jeśli nawet byli?... I tak już tam nie wrócisz, zostaniesz u mnie...

– Nawet bardzo konieczne – odparł Antoni. – Ale skoro nie masz ochoty – (nie powiedział: boisz się) – to nie idź. Karolowa mówiła, że dziś jest spokojnie – dodał jeszcze.

– Coś ty! – zawołała Alina. – Pewnie, że pojde. Pamiętasz, przedwcześniej byłam u Ireny, poszłam prościutko, spokojniutko... Zaraz będę gotowa.

Była nagle rześka, rozbudzona, wesoła nawet. Nie wiadomo, co na nią tak podziało: uwaga Karolowej czy przypuszczenie Antoniego, że „nie ma ochoty”. W podnieceniu zapomniała, że do Ireny było dwa kroki, podczas gdy mieszkańców Antoniego znajdowało się na drugim krańcu miasta.

Pewnie, że pojde, myślała, róŜując policzki. Uspokoi się, kiedy powiem, że go nie szukali, bo pewna jestem, że nikt o niego nie pytał... Włożyła niebieską sukienkę, słomkowy ciemny kapelusz, rękawiczki.

– Śliczna jesteś – powiedział Antoni i kończył bez związku: – Ale ja nie mogę tam iść, w dodatku wyglądam nie jak jeden Żyd, ale jak trzech! Jak setki, jak cały tłum!

– Nie przesadzajmy – zawała wesoła Alina – ani z tą ślicznością, ani z tłumem... W korytarzu zastąpiła jej drogę adwokatowa, u której wynajmowała pokój.

– Pani wychodzi? Szaleństwo... Rano było spokojnie, ale właśnie dzwoniła córka... Alina uśmiechnęła się uprzejmie i szybko zamknęła za sobą drzwi. Było słoneczne, dojrzale popołudnie. Cień platanów leżał na chodniku, w oknach pachniały kwiaty. Daleko, przy końcu ulicy, dzwonił tramwaj. Początkowo szła lekko i swobodnie, ale na placu, gdzie krzyżowało się kilka linii tramwajowych, spotkała pierwszych przechodniów i poczuła, że sztynniej jej mieścinnie nogi.

Za dwie godziny będzie po wszystkim, wrócię, usiądę na tapczanie i będę opowiadała, jak miałki sztywniały. I szła dalej, nie zwalniając kroku mimo naporu lęku.

Postanowiła całą drogę przebyć piechotą. Oboje z Antonim nie dowiezali teraz tramwajom, poza tym dojechać mogłaby tylko do politechniki, skąd był jeszcze kawał drogi do mieszkania jej przyjaciela.

Miasto było ciche i wymarłe po krwawej burzy, jaka przewaliła się w ostatnich dniach przez jego ulice i domy. Martwy spokój przerzążał, cisza groziła zasadzką, drażniła nerwy. Im głębszej brnęła w miasto – odskonięte i nagie, bo niemal bez ludne – tym większa ogarniała ją panika.

Szla właściwie wbrew swojej woli, pełna wzbierającej złości na Antoniego. Cała ta wyprawa wydała jej się nagle nonsensem, wynikiem przedziwiwionej wyobraźni.

Była bliska płaczu, mówiła sobie, że jest idiotką, skręcała się ze strachu, ale szła. W ten sposób przebyła połowę drogi i skręciła w szeroką, zadrzewioną ulicę P. Była to ulica, przy której zadomowili się gestapo, ulica-pojęcie. „Wzięli ich na P.” – mówiono, i to powiedzenie nie wymagało komentarzy.

Omotana strachem, prowadząc w myślach niekończący się dialog z Antonim o bezsensie swojej misji, nie spostrzegła nawet, jaką ulicą idzie.

Nagle stanęła przywoźdzona do ziemi. W odległości pięćdziesięciu metrów jezdnią tarasowały ciężarówki. Na chodniku przed budynkiem

kręciło się kilku gestapoowców, grupka ludzi znikała właściwie za bramą. Niemcy chodzili tam i z powrotem, ciężarówki odjechały.

– Łapią? – spytała Alina chłopca, który przed chwilą minął Niemców i szedł spokojnie dalej.

– Legitymują, ale nie wszystkich, tylko takich, którzy im się nie podobają. Pan – chłopak spojrzał na nią z uznaniem – nie będą się przecież czepiali...

Na pewno nie, przejdę spokojnie, jak gdyby nigdy nic – postanowiła, ale nie była w stanie zróbić kroku naprzód. Stała zrozpaczona, mocując się sama ze sobą. Znow nadjechała ciężarówka i nowa grupa ludzi znikała za bramą, gestapoowcy chodzili po chodniku tam i z powrotem... Długą chwilę stała zrozpaczona, w końcu uległa. Wracała rozbita. Lekko ułotniła się, niczego się teraz nie bała, o niczym nie była zdolna myśleć, tylko o swojej kleśce i o tym, jak stanie przed Antonim i co mu powie. Jej rozpacz – tak jak przed chwilą lek – olbrzymiały gwałtownie i w pewnej chwili Alina nie była już pewna, czy nie stałoby się lepiej, gdyby ją byli zkapali...

Kiedy weszła do pokoju, Antoni zerwał się z tapczanu.

– Byli?

Niecerpliwość tego pytania, zgłodniała odpowiedzi spojrzenia odebrały jej resztki sił.

– Nie byłam... – powiedziała, ale on nie dosłyszał, zrozumiał „nie byłi” i jego twarz rozjaśniła się.

– Nie byłam tam.

– Nie byłaś? Nie mogłaś się dostać? Znów niespokojnie?

– Doszłam do P. i dalej już nie mogłam.

Przed gestapo legitymowali, chciątam przejść, ale nie mogłam.

Antoni zagryzł wargi.

– Dobrze zrobiłaś – powiedział. – Gdyby się nie udało...

– Pójdę jutro.

Była to żałosna próba ratunku.

– Zobaczmy, co będzie jutro... Może później razem. Może pojedę sam. Nie martw się, nie myśl o tym...

Wieczór minął w milczeniu. Antoni czytał książkę, Alina gotowała kartofle.

– Udało się pan!

Karolowa, gospośia domu, siedziała pod piecem, zawsze skora do pogawędki.

– Adwokatowa mówiła, że pani poszła na miasto... Rankiem było cicho, ale potem łapali. Na rynku łapali, za mostem łapali. Dobrze, że pani się udało... To pan Antoni zostaje na noc? A gdzie będzie spać? W pani pokoju tylko jedno łóżko...

– Z Karolową będzie spać – odparła Alina wściekła.

Przy kolacji Antoni rozwiończył się szeroko nad architekturą romańskich kościołów we Francji. Alina z trudem łkała słodkie kartofle i mówiąła, że od tego nigdy już nie będzie tak, jak było. Właśnie teraz, kiedy powinno być jak najlepiej, jak najbliżej.

Polożyla się pierwsza. Antoni długo pluskał się w łazience.

„Wojna wojną, a wstyd wstydem” – usłyszała sentencję Karolowej, wypowiedzianą w kuchni umyślnie donośnym głosem.

– Słyszałaś? – pękał ze śmiechu Antoni. – Złote myśli, zdrowe myśli. Wstydzisz się?

Trzeba było przejść, trzeba było przejść – myślała.

Leżała bez snu, z ratuszowego zegara spędzającej godziną za godziną. Dopiero o świcie usnęła. We śnie szła ulicą, młody Niemiec zagrodził jej drogę i pchnął do bramy, była to brama romaneskiego kościoła, a Niemiec miał twarz chłopca, który był pewny, że nie będą się jej czepić. Zlapali mnie – pomyślała z radością i na krótką chwilę snu odczuła ulgę.

Zygmunt

Był rok czterdziesty pierwszy, początek czerwca. W basenie obok parku słoneczne migotało w chlorowanej wodzie. Pytaliśmy: w jakiej tonacji jest kolor zielony? Było zielono i słonecznie. Rankiem o ósmej chodziliśmy tam rozwiązywać zadania z kontrapunktu i harmonii – już się rozpoczął okres egzaminów – a w teczках oprócz nut i książek były kostiumy kąpielowe.

Chodziли Franka, Rysiek i Ala, którzy zginęli kilka miesięcy później. Franka, z twarzą płaską i szeroką, ze świętymi nogami, wielbicielką Bacha i jazzu, Rysiek-kompozytor, smukły, delikatny. Ale nie o nich chodzi. Chodzi o Zygmunta, małego, niepozornego chłopca z dalekiej prowincji, trochę arogackiego, trochę nielubianego. Przychodził czasami do mnie i pani H., u której wynajmowalam pokój, twierdząc, że się we mnie podkochuje. Nie sądzę, żeby to była prawda. Sądzę natomiast, że

Zygmunt gwałtownie szukał przyjazni, która z powodu jego oschłego usposobienia wymykała mu się za każdym razem z rąk. Był na studiach o rok wyżej ode mnie, wiadomo było, że dużo pracuje i gra całymi dniami. Przygotowywał na egzamin obszerny i trudny program. Obiecynałałam nieraz, że wstąpię i posłucham – był żądny pochwały i zachmentów – ale zajęta egzaminami, a zwłaszcza miłością, odkładałam odwiedziny z dnia na dzień.

Kiedy przyszłam, była już połowa czerwca, gdzieś po piętnastym. Mówiono o wojnie głośno i z twogą.

Miał mały pokój urządżony ze smakiem ksiązki, obrazy, kwiaty – był pedantem o silnie rozwiniętym zmysle estetycznym. Usiadłam na tapczanie i słuchałam trzeciego koncertu Beethovena. Grał bardzo dobrze, z nienaganną techniką długich, giętkich palców – pewnie, mocno. Bez jak to mówią – serca. Kiedy skończył, powiedziałam mu, że wszystko świetnie „siedzi”. Wydawał się zadowolony.

Kilka dni później była już wojna. W pierwszych dniach poznaliśmy strach przed bombami, dzieciom i śmieszny w porównaniu ze strachem kolejnych dni – strachem przed ludźmi.

Kryte brezentem ciężarówki pędziły ulicami miasta, uwożąc Żydów w niewiadomym kierunku. Śmierć stała się sprawą dnia powszedniego – mó-

wiono o niej głośno, stojąc w kolejce po chleb, strach – stanem naturalnym. W mieszkaniach rolegały się pierwsze, elementarne słowa nowego języka – *aufmachen, raus, los*. Ludzie zmienili wygląd – nowy wyraz oczu, inne spojrzenia, inny chód, nowy grymas ust.

Spotkałam Zygmunta. I on wydał mi się zmieniony. Powiedział, że przed trzema tygodniami zabrali go z mieszkania, sądzili, że to koniec, ale nie, pracuje za miastem przy niwelacji terenu przeznaczonego na lotnisko. Odpowiedziałam, że to wyjątkowe szczęście, na co się lekko, dziwnie uśmiechnął. Pożegnaliśmy się szybko. Któź w owych czasach miał cierpliwość do towarzyskich rozmów, do interesowania się cudzym losem! Byliśmy egoistami.

Skręciłam w boczną, mało uczęszczaną, a tym samym bezpieczną uliczkę i wtedy dopiero przypomniałam sobie pewien szczegół w twarzy Zygmunta. Jego twarz była sinawa, pokryta plamami.

W jakiś czas potem znalazłam się w okolicy, gdzie mieszkał. Zmęczona do ostatka szorowaniem podłóg w ratuszu – szczęśliwym finalem ulicznej łapanki – zapragnęłam muzyki.

Wstępiałam do Zygmunta. Na moje pukanie nikt nie odpowiadał. Zawołałam:

– Otwórz, to ja! – i naciśnęłam klamkę.

W pokoju panował półmrok, firanki u okien były zsunięte. Zygmunt leżał na tapczanie. Nie wstał na moje spotkanie ani się nie poruszył. Powiedział stumionym głosem:

– Wejdź, wejdź... – i nadal leżał nieruchomo, bez słowa.

– Zbudzilam cię?

– Nie spałem.

– Przechodziłam tedy i pomyślałam, że może mi coś zagrasz... Ale nie będę ci przeszka- dzała, przyjdę innym razem...

I już zwracałam do drzwi, kiedy on nagłym ruchem zerwał się z tapczana, usiadł przy forte- pianie, otworzył klawiaturę i bez chwili namysłu czy skupienia, jakie zazwyczaj poprzedzają grę, w nerwowym pośpiechu, zagrał dwa krótkie pasaże c-moll. Zabrzmiły jak krzyk! Wzdrygnęłam się, zrobiło mi się zimno. Nic oschlego nie było w tej grze, nic sztucznego – to była czysta, przejmująca do głębi serca muzyka. Zapomniłam o wszystkim i słuchałam trzeciego koncertu Beethovena.

Zygmunt skończył pierwszą część, pocze- kał, aż przebrzmiały ostatni dźwięk (był pedantem) – i zamiast, jak tego oczekiwalam, wziąć cichy akord w E-dur, rozpoczętyjący część drugą, powiedział:

– Wiesz, oni nas tam strasznie biją.

Zrozumiiałam dopiero po chwili, nie wie- działam, co odpowiedzieć. Obliciał mnie strach.

– Strasznie – powtórzył. – I kopią. Po- patrz...

Rozchylił koszulę na piersiach. W półmroku niewiele mogłam rozeznać, przypomniałam sobie jego twarz.

– Więc dlaczego tamchodzisz?

Milczał. Siedział pochylony, rękoma objął głowę.

– Na początku było nas dwudziestu – rzekł po chwili. – Zostało czternastu.

– A tamci?

– Tak, tak... Wszystkich...

– Nie chodź tam więcej!

– Spisali nasze adresy, przyjdą po mnie...

– Może nie przyjdą... Nie chodź tam...

– Co dzień rano mówią sobie: nie idź, zaryzy- kuj... I co dzień tam wracam... Zanim przyszłas, leża- lem i myślałem o tym, jak oni będą mnie jutro bili.

– Zygmunt! – krzyknęłam. – Co z tobą?

Opamiętaj się... Tak nie wolno... Ty jesteś chory!

– Wiem, że nie wolno, masz rację... Ale ja nie mogę... Nie potrafię...

– Zygmunt – powiedziałam już cicho i spo- kojnie. – Zrób coś, broń się, słyszysz? Musisz coś zrobić... Musisz, jakoś...

Uśmiechnął się. Wyczułam: to był uśmiech człowieka śmiejącego się wyrozumiale z głupstw dziecka.

Zygmunt zginął. Nie wiem kiedy, nie wiem gdzie. Nie należał nigdy do grona bliskich mi ludzi i przyznam, że wiadomość o jego śmierci uszyła po wojnie przyjęłam z pewnym obojętnym smutkiem. Tyle bliskich, drogich osób było do opłakiwania...

Zamknięty krąg

Ciężarówka minęła ostatnie domy miasta i wjechała na pustą szose. Asfalt był uszkodzony, rozorany gąsienicami czolgów, drzewa przydrożne polamane, zgięte we dwoje. Ale starczyło spojrzeć w bok, przeskoczyć wzrokiem przydrożny rów, by znaleźć się w dawnym, przedwojennym świecie. Na polach i łąkach nic się nie zmieniło. Wschodzące słońce rozświetliło ścierniska, wśród trawy żółto było od jaskrów, a gromady białych stokrotki przypominały lachy zapomianego przez zimę śniegu.

Józef siedział zwrócony twarzą ku polom i ląkom. Widok zieleni i kwiatów podziął nań niespodziewanie – był człowiekiem odpornym na uroki przyrody – niespodziewanie i kojąco. Ogarnęła go nawet po raz pierwszy od niepamiętnych czasów chęć, by położyć się w cieniu drzewa i głęboko oddychać. Była to dziwaczna chęć,

zważywszy, że Józef, z zawodu buchalter, był pracownikiem wielkiej importowej firmy, dawno przekroczył czterdziestkę i w swoim pracowitym, uporządkowanym życiu nie miewał nigdy ataków sentymentalnych zachcianek. Samo skojarzenie jego chudej postaci w ciemnym ubraniu z drzewem gruszy czy jabłoni wymagało nie lada wyobraźni. Była to postrać związana z miejskim brukiem i stolikiem kawiarni, jak najbardziej obca ścierniskom i stokrotkom. On sam jednakże żachnąłby się na każdego, kto by uznał jego reakcję za dziewczęczą, przekonany, że od lat tępknął za zielenią i cieniem drzew, tak jak w tej chwili, gdy (siedząc na walizce i z trudem utrzymując równowagę przy każdym wyboju zniszczonej szosy) uciekał do rodnego miasteczka, które opuścił na dobre przed dwudziestu laty i przez te dwadzieścia lat przejeżdżał tam tylko raz w roku, na święta, do rodzin.

Nikt z podróżnych nie zwracał uwagi na świat za przydrożnym rowem. Mężczyźni grali w karty, a dziewczyna, wsparta plecami o budkę szafra, miała zamknięte oczy. Józef, mimo że nie wspólnym losem. Mężczyźni natomiast wracali z podróży, którą można by nazwać handlową, gdyby paczki i skrzynie nie zawierały kradzionego, zrabowanego towaru.

Twarz mężczyzna był obrzmiale, czerwone – mimo wcześniejszej pory nie pogardzili alkoholem. Grze w „oko” towarzyszyły głośne, pijackie okrzyki.

Przed wyjazdem Józef zamienił z jednym z mężczyzn kilka słów, a to wówczas, gdy płacił za podróż do Z. słona cenę, wielokrotnie przewyższającą opłatę za normalny, kolejowy bilet. Ale nie o tym była mowa. Cena nie podlegała dyskusji, należało nie tylko zapłacić, ale wdzięcznym być jeszcze za możliwość nielegalnego przejazdu. Żydom nie wolno było opuszczać miasta bez przepustek. A przepustek nie wydawano. Mężczyzna, któremu Józef płacił za przejazd – potomek znanej w Z. rodziny złodziejasków i zawadiaków – obrzucił go bacznym spojrzeniem i spytał, czy on aby nie syn tego brodatego, co to miał sklep koło fary, a gdy Józef potwierdził i sam z kolei zaprośił, czy u rodziców wszystko w porządku, ten odpatr, że owszem, jeszcze żyją. Powiedziałi mu to, wyjął z kieszeni flaszkę wódki i zaproponował Józefowi, żeby się napił. Odmownie skwitował głośnym śmiechem:

W Z. terper ja korol...

Józef wdrapał się po drabinę, przycupnął na walizce i do chwili, gdy szofer zapuścił motor, nie wierzył, że uda mu się wyjechać z miasta. Zwiedzenia się dziewczyny nie zauważył. Kiedy ją spóstrzegł, siedziała już wsparta o szafę i miała

zamknięte oczy. Czarne, drobno kręcone włosy, wypukłość oczu, tak wyraźnie widoczna teraz, gdy opinały je powieki – wykluczały pomyłkę. Ktoś z Z.? – zastronął się, ale już w następnej chwili przestał o niej myśleć. A raczej: przestał myśleć w ogóle. Ostatnio zdarzało mu się to często – jakieś niby zamyslenie, niby odrewtienie, białe plamy w świadomości, bezwład umysłu, któremu nieodmiennie towarzyszył także bezwład fizyczny. Rozpoczyynało się przykrym uczuciem zapadania w głęb (jak nieraz we śnie), po zapadnięciu się przykro uczucie mijało. Wytwarzala się pustka, próżnia, a on, Józef, tracił nagle ciężar i podobny lekkością do piórka zawisal w próżni, i wcale, ale to wcale nie miał ochoty z niej się wydostac. Do tych swoich zapasów, czy – jak je nazywał – bezwładów, nie miałby żadnych pretensji, gdyby nie zdarzały się najczęściej w porach bardzo niestosownych, to znaczy wówczas, kiedy należało zachowywać się w sposób krańcowo odmienny – myśleć bystro, działać sprawnie. Było więc to zapadanie się w przyszłą wielce niebezpieczne. Po raz pierwszy zdarzyło się w jasny dzień, na ulicy zamkniętej zielonym murem mundurów i hełmów. Sytuacja, ponad miarę groźna, nie była jednak beznadziejna: bramy domów stały otworem i najprostszą, choć – jak się okazało – niezbędzt skuteczną obroną było ukrycie się w ciemnych wnętrzach klatek

schodowych. Tak też postąpiło wielu przechodniów złapanych w uliczną pułapkę. Tłum przedzielił się gwałtownie i na ulicy pozostały tylko ci, dla których okazanie dowodu osobistego nie pociągało za sobą groźnych komplikacji. Wśród jawnego nurtu pozostał i Józef – wbrew pieczętce w dowódzie osobistym, na przekór własnej twarzy i opasce z białego płótna na ramieniu, na której starannym ściegiem wyszyta była szesnastioramienna gwiazda. Wbrew, rzec można – rosządkowi. Co prawda, polowanie nie ograniczało się jedynie do ulicy, myślwi w hełmach przeprowadzili dokładną rewizję schodowych klatek, suteren i podwórzy i w rezultacie złowiono większość ukrytych, których – wraz z Józefem – zapędzono do robót w gmachu będącym od miesiąca siedzibą gestapo. Po zakończeniu pracy – myciu podłóg i wnoszeniu mebli – wolno puszczeno tych, którzy myli podłogi na parterze. Wykonujących tę samą czynność na piętrach – zatrzymano na miejscu. W chwili gdy Józef w mokrym ubraniu, z twarzą przeciętą ślada- mi szpicruty, przechodził przez jazdną, wjechało na dziedziniec pięć ciezarowych aut, a w nich umundurowani w hełmach. Śpiewali melodyczną pieśń. Ich głosy były silne i młodzieńcze, harmonicznie zestrojone.

Józef zdawał sobie sprawę, że osłupienie i chwilowy paraliż, jaki zdarzył mu się podczas

ulicznej łapanki i odtrąd powracał od czasu do czasu, nie ma nic wspólnego z tchórzostwem ani z tym, co się potocznie określa mianem tracenia głowy. Była to sprawa bardziej zawiązana, sprawka raczej niż sprawa tajemniczych sił, o istnieniu których nie miał dotąd pojęcia. Po wypadku z obrązem postanowił poradzić się lekarza.

Obraz, marna reprodukcja Breughla, w złoczych, ciężkich ramach, wiszący w jego subiektywistkim pokoju, omalże nie stał się przyczyną nieszczęścia.

Podczas jednej z wizyt, jakie umundurowani w hełmach składali białym opaskom z sześciornienną gwiazdą, zjawił się w pokoju Józefa – sprowadzony przez usłużną dozorcową – osobnik w mundurze i hełmie, który – jak się okazało – był miłośnikiem sztuki. Sklonności te nadaly odwiedzinom nieprzewidziany, nienormalny przebieg. Spostregłszy porcelanową Ledę z łabędziem, osobnik w mundurze zapomniał chwilowo o celu swej wizyty i ręką w skórzanej rękawiczce wskazał porcelanowy kicz. Józef podał go usłużnie, po czym otworzył szufladę i wyjął z niej kilka podobnych kiczuów z porcelany i brązu. Były to nędzne resztki sklepiku zmartej ciotki i jedynie przez pamięć o niej Józef nie wyrzucił ich na śmieci. Osobnik w mundurze rozkazał *einpacken* i Józef, nieposiadający zaświadczenie pracy, rozkazał

ten chętnie wykonał. Wiszący w kącie obraz rzucił się miłośnikowi sztuki w oczy już na odchodnym. Ocenił go fachowym wzrokiem, mrugając powieki, bez słowa skinął uhełmioną głową. I wtedy, na kilka chwil przed szczęśliwym, niecodziennym fajtem odwiedzin, odezwały się w Józefie tajemne, ponure siły. Zapadł się w swoją przónię, zatracił poczucie czasu i sytuacji i mowy nie było, by ruszył ręką. – *Loos!* – warknęło spod hełmu i jeszcze raz głośniej, groźniej; – *Loos!!!* – ale i tym razem bez skutku.

Fakt, że Józefowi udało się zbiec z placu przed kościołem Świętej Magdaleny, granicył z cudem. Wkrótce ruszył stamtąd długim sznur aut krytych brezentem.

Zaniepokojony tym razem do granic paniki siłami, które wiody go do niechybnej zguby, udał się do znajomego lekarza. Znajomość z lekarzem ograniczała się do cotygodniowej partii szachów w kawiarni, a właściwy tej grze wysiłek umysłu i skupienie raz na zawsze wykluczały rozmowy i pogawędkę. Jeśli zdarzało się czasem zakończyć partię przed godziną szóstą – kiedy to obaj opuszczali kawiarnię, udając się każdy w swoją stronę – mowa była o ostatnich rozgrywkach wielkich mistrzów lub co ciekawszych końcówkach. Niemniej Józef zaliczał lekarza do swych bliskich znajomych. Miął ich tylko dwóch. Drugim był

pewien adwokat, człowiek muzykalny i przez to Józefowi miły, z którym uczęszczał regularnie na symfoniczne poranki. Józef cenił muzyczną wiedzę tego człowieka, razilly go natomiast jego melodramatyczne upodobania. Nie mógł mu, na przykład, wybaczyć uwielbienia dla Verdiego i Pucciniego, którymi jako miłośnik Bacha i Mahlera z lekka gardoził, ani też zbyt nachalnego zadomowienia w świecie dźwięków. Wychodząc z sali koncertowej, adwokat zwykle podspiewywał półgosem słyszany przed chwilą utwór i ta głośna manifestacja bliskich z muzyką stosunków (a także dźwięcznego basu) bardzo Józefa razila. Lekarz-szachista był mu bliższy.

Oczywiście nie brakło i innych znajomości. Były to jednak kontakty przelotne, z góry skazane na wymarcie. Pozostał starym kawalerem.

Lekarza nie było. Dwoje dzieci patrzyły nań przeróżnym wzrokiem. Męża zabrali przed tygodniem – powiedziała żona. Nie poprosiła, by usiadł. Nie miał jej tego za zle. Wyszedł. Ulicą marszował oddział wojska. Żołnierze śpiewali i tym razem, i mieli znów te same, ładnie zestrojone, silne, młode głosy. *Und morgen die ganze Welt...* Zaçał iść w kierunku podmiejskiego osiedla, gdzie mieszkał adwokat, ale nagle przystanął i zawrócił. Zaświtała mu w głowie myśl o koledze z biura – machnął na nią ręką.

Właścicielka mieszkania, u której od lat wyjmowała pokój ozdobiony reprodukcją Breughla, czekała w korytarzu. Wy słuchał jej, nie wracając słowa. Rozumiał poniekąd tę wystraszoną kobietę, która ze względu na własne bezpieczeństwo i sposób domowy wypowiadała mu mieszkanie.

Pod wieczór zwłoki się z tapczanu i stanął przy oknie. Nad miastem wisiała niebieska mgła, zachodzące słońce migotało wokół stoczyka ratuszowej wieży. Stromą ulicą piął się tramwaj. Cisza spadła na plac i skwery, na opustoszałe ulice, które znali jak własną kieszeń. Kiedy tak stał, przyglądał się miastu, a poprzez nie zyciu, które w nim spędził, usłyszał stłumiony trzask, podobny do odgłosu, jaki wydaje walace się rusztowanie. Być może dwadzieścia lat innego życia, życia obfitującego w burze, wzloty i upadki, napęczniałego gwałtownością różnorakich uczuć, runęłyby z humikiem potężnej eksplozji. Życie Józefa, pedantyczne i uporządkowane jak szuflada, z której wyciągnął porcelanowe kicze, stać było jedynie na ów stymiony, cichy odgłos.

Oszłomienie, jakie wywołał widok ścięły się po obu stronach szosy (za jego to sprawą wydostał się Józef ze swojej próżni-odrębienia),

minęło, pozostawiło jednak w Józefie ziarenko euforii, gotowe w każdej chwili zaksielkować. Okoliczności ku temu raczej nie sprzyjały. Mężczyźni, zakonicywszy grę w karty, zabawiali się rozmową na aktualny temat, a czynili to w sposób tak doński i dosadny, że Józefowi z trudem udało się odgrodzić od podnieconych głosów i rechotliwego śmiechu. Niemal wysiłku kosztowała go ta dobrowolna głuchota – wzywał na pomoc swoją przonię, o ironio, teraz – gdy mogłaby się przydać – nadaremnie. A sprawą była wielkiej wagi, choć nieco mglistą i o niesprecyzowanych bliżej побudkach. Chodziło o chwilowe unicestwienie aktuального tematu, chwilowe, to znaczy na przeciąg nieokreślonego bliżej czasu, który – należy przypuszczać – był czasem podróży. Nie myśleć, nie słyszeć, nie wiedzieć – o to chodziło. Dlaczego? Nie zastanawiał się nad tym i doprawdy, mniejsza o przyczyny. Były ich sporo, a niepośrednią rolę odgrywał tu i ów niedawny trzask rusztowania. Dość powiedzieć, że w miarę przedłużania się relacji na aktualny temat, twarz dziewczyny wspartej o szoferkę traciła barwę – odcięń po odcienu – aż w pewnej chwili stała się przezroczysta, oblicze Józefa natomiast pozostało niewzruszone, pogodne i spokojne. Co więcej, w miarę jak rostała opowieść – okrutna i bestialskawa w szczegółach – na przekór niej zaksielkowało ziarenko euforii. Józef stulił war-

gi i zagwizdał. Zagwizdał czysto i wysoko. Nie wiadomo, na co zwrócić w pierwszym rzędzie uwagę: na gwizdany przezeń utwór czy na fakt, że gwizdał po raz pierwszy od zamierzchłych czasów. On sam zdziwiłby się wiele, gdyby usłyszał, co gwizdało. Był to ulubiona przez adwokata, zwulgaryzowana popularnością aria z *Rigoletta*, żaden tam Bach czy Mahler! Ale nie słyszał. Nie słyszał, nie wiedział i dopiero zdumione spojrzenie dziewczyny i nagła cisza uświadomiły mu, że popełnił coś niewłaściwego. Spojrzenie dziewczyny wyrażało zdumienie i niesmak, a cisza przerwał śmiech mężczyzn i ich wołania: – *Gwizdaj, gwizdaj, ne dowho budesz gwizdaty..*

Tak czy owak – postawił na swoim. Intermezzo operowe położyło kres relacji, w ruch poszyły znów karty i butelka wódki.

Dziewczyna długą chwilę patrzyła na Józefa, drobne zmarszczki pofałowały jej czolo, główkę wtuliła w ramiona. Wyglądała jak czarny, przestrząszony ptak.

Józef sięgnął do kieszeni, wyjął papierosnicę. Nawyk palenia uważały za przyjemność szkodliwą i użycał jej sobie tylko w chwilach wyjątkowego nastroju, przy szczególnie emocjonującej partii szachów na przykład lub dobrym, „wytrawnym” – zwykłą mawiąć – koncercie. Papieros miał nieprzyjemny smak, gryzli i drażnił gardło

wysuszone silnym prądem powietrza – smak niezupelnie jednak nowy, już kiedyś zaznany. Przypomniat mu się smak pierwszego w życiu papierosa, którym poczęstował go ojciec. Jechali trzęsącą się furką, wiatr dął im w twarz, papieros gryzł w gardło, dławił. Ujrzał ruch swojej ręki rzucającej papierosa na zakurzony dziedziniec – powtórzył go teraz.

Kto wie, czy to na pozór blahe przypomnienie nie spowodowałyby zaniku ziarenka euforii, gdyby naturalnym biegiem skojarzeń wywołało dalsze wspomnienia i refleksje. Najblisze godziny zdają się na to wskazywać. Ziarenku pisany był jednak nieco dłuższy żywot...

Auto zjechało z drogi, zatrzymało się pod pachnącą ścianą lasu. Była godzina obiadowa, mężczyźni wydobyli z paczki maczugę kiełbas, zapach czosnku zapanował nad igliwiem.

Ach, jak gwaltownie wezbrało ziarenko euforii! Józef pospiesznie wyskoczył z auta, zamknął się w las. Nieco mniej zrozumiał wydaje się pośpiech dziewczyny, która zerwała się z miejsca i pobiegła za Józefem. Oboje znikli w zielonym wnętrzu, wśród polaskujących plam słońca i wybijających paproci. Kiedy dziewczyna nadbiegła, Józef leżał już pod drzewem, na miękkim mchu i głęboko oddychał. Na jego twarzy błakat się lagodny uśmiech.

Dziewczyna, zdyszana jeszcze od biegu, odezwała się pierwsza, usprawiedliwiając swoją obecność. Nie mogła – mówiła – zostać w aucie sama z tymi pijakami, którzy cieszą się i radują... Bała się także, że znów rozpoczna opowieść o mordowaniu, dlatego tu przybiegła. Jest – powiedziała – u kresu sił, zwłaszcza że wczołaj...

Józef, który dotąd słuchał w milczeniu, skrzystał z przerwy powstałej na skutek zatamania głosu i rzekł łagodnie:

– Nie teraz, proszę pani, nie teraz...

Dziewczyna zmarszczyła brwi i powiedziała wzgardliwie:

– Można by pomyśleć, że jest pan na ma-jówce!

– Owszem – odparł Józef – sceneria na majątkę wymarzona – i ujrzał, jak czolo dziewczyny poorała drobnutko harmonijka zmarszczek, tych samych, które pojawiły się za przyzyną arii z *Rigoletta*. Odwrócił wzrok i dodał: – Niech pani spojrzy dokoła i przyna mi rację. Co prawda mamy już wrzesień, więc należałoby powiedzieć „wrześniówka”. Gieszmy się wrześniówką! Podoba się pani taki slogan? Bo mnie – bardzo.

Dziewczyna, która nie miała pojęcia o istnieniu ziarenka euforii i jego obyczajach, rzuciła półgłosem słowo, które w dosadny sposób wyrażało jej sąd o leżącym na mchu Józefie. Usłyszał je

– i cóż z tego? Puścił mimo uszu, przepędził w las i ciągnął dalej:

– Tak, tak... cieszmy się wrzesniówką, niech mi panie wierzy, to slogan wcale mądry, a mądrości należy się posłuszeństwo. Niech panie usiądzie, dzieciętka, za moim przykładem na mchu i zwróci uwagę na niezwykłość powszednich zjawisk, takich, na przykład, jak śpiew ptaków, szum wiatru wśród drzew, zapach igliwia...

Niezniechętny milczeniem, lekceważąc pogłębiające się faldy harmonijki, oświadczył, że on, Józef, przez całe życie zbyt luźne utrzymywał związki z tym, co nazwane zostało przed chwilą scenerią majówki, i że obecnie głęboko nad tym boleje. Czuje bowiem, że jest to źródło siły, które...

– Niech pan przestanie pleści! Na litość boską, niech pan przestanie pleści!! – krzyknęła dziewczyna i zatkała sobie dlonimi uszy. Na tak gwałtowny protest Józef zamilkł. Moment ciszy był niefortunny. Z auta doleciało pijackie zawodzenie, belkotliwa pieśń na aktualny temat. Józef skubnął palcami mech i przybliżyszy do oczu puszystą, zieloną poduszkę, przypatrywał się jej z baczną uwagą. Być może zdobędzie schronić się w bezpieczną zieloną miękkość, gdyby nie dźwięk, jaki usłyszał. Dźwięk, który – nie popchniąjąc wielkiejomyśli – wziął początkowo za

kwilenie ptaka. Dziewczyna płakała z twarzą ukrytą w dloniach, kołysząc tułowiem jak stare kobiety zdjęte rozpaczą. Odrzucił mech i wyciągnął rękę. Przejawy czułości nie były mu obce. Wykonał ruch, jakim nieraz ukradkiem obdarzał kota swojej gospodyni: przesunął dłonią po twardych, kręconych włosach dziewczyny, przy czym dawne, retoryczne „no co, kiciu, co...” zastąpił słowami prośby: – Nie płacz... no... nie płacz...

Jeszczże raz zawałała: – Pan nie wie, co oni... oni wzorają...

Ale i tym razem nie dał jej dokonczyć: – Wiem – powiedział – wiem... ja wszystko wiem, dziecinko.

Wtedy naprawdę przestała płakać i jak dziecko poszukała opieki: złożyła głowę na jego piersiach, przytułała się blisko, rozpaczliwie. I leżeli tak spleceni w zielonym wnętrzu lasu, wśród polaskiwych plam słońca i wybujalych paproci, a jego dłoń wędrowała niestrudzenie po wzburzonym, czarnym morzu jej włosów.

Czuł przy tym bolesny, a miły ucisk w sercu, który o niczym innym nie świadczył, jak o zmianie, która dokonała się w chemicznej substancji ziarenka. Lekkie dotychnięcie jak bańka mydlana, doznać musiało pewnego szwanku, ranki, przez którą – niby przez otwór w łodzi – wsączał się ów bolesny, ciężki jad.

Wróciwszy do auta, oboje zajęli swoje poprzednie miejsca, z dala od siebie, i to ponowne po zbliżeniu oddalenie Józef przyjął z głęboką ulgą. Siedział teraz twarzą w kierunku jazdy, skupiony, wsluchany w siebie. Czuł wyraźnie bolesny ciężar uwierającego go w okolicy serca kamyczka. Taką bowiem postać przybrało niefrasobliwe, lekkie jak bańka mydlana ziarenko euforii. Śmierdelnie zranione, wypetnione po brzegi bolesnym jadem – skamieniało. A że i w swym obecnym stanie zachowało dawne, dziwne obyczaje, kamyczek ów – na przekór prawom natury – rozrastał się i powiększał, i w krótkim czasie przemienił się z kamyczka w kamień, który legł Józefowi ciężarem na piersi.

Zjeżdżali w rozległą dolinę rzeki. Zbliżał się kres podróży i jak to zwykle bywa u schyku drogi, podróżnych teraz właśnie zmogło zmęczenie. Mężczyźni zapadli w tępą drzemkę, słyszać było tylko brzęk pustych butelek po wódce.

Pod kołami auta zadudnił żelazny most. Józef ocknął się z odrewtienia, spojrzał dokola. Nasłuchiwał.

Drobno, sucho zaturkotała nadjeżdżająca furmanka. Furman wywijał batem, za nim, na siedzeniu moszczonym stoma, siedział mężczyz-

zna w ciemnym ubraniu, w sztywnym kapeluszu, a obok niego młody chłopak. Ujrzał nagle z bliska wielki, cebulasty zegarek, usłyszał cichy brzęk zlotnej pokrywki. Po białej tarczy sunęło ramię czasu. Spóźniami się, tato? – usłyszał swój głos. I głos ojca: Gdzie tam się spóźnimi, nie bój się, maszcale życie przed sobą...

Przytknął dłoń do serca, taki odczuł ból. Całe życie przed sobą! Zaniósł się ni to westchniem, ni to jękiem. Całe życie... Ujrzał oczy ojca pełne ufnosci i nadzieję. I co? – spytał sam siebie i sam sobie odpowiedział: Nic... nic...

Na horyzoncie pojawiło się ciemne, pionowe znamię. Zdziumiał się i dopiero po chwili rozpoznał. Był to komin cegielni, która stała daleko za miastem. Ale zdumienie trwało nadal, patrzył na rodzimy krajobraz jak na przyjaciela spotkanego po latach, zmienionego nie do poznania. Jechali wśród płaskich równin, monotonnych, stepowych. Wiodły przez nie wydeptane polne szlaki, białe firy świętych stali na rozstajach. Wrzos pachniał i macierzanka. A kiedy wreszcie w kotlinie, pod zamkowym wzgórzem ukazało się miasteczko, i ono zdumiało go swym zmienionym wyglądem. Wieża kościelna uciekała z pierwszego planu w głęb, zdachy domów, leniwa rzeka płynęła nie na swoim miejscu, a wraz z rzeką i wzgórzem zamkowem zmieniło położenie. Zrozumiał. Wracał drogą, którą

jechał jedyną raz w życiu – wyjeżdżał wtedy na nąkę do wielkiego miasta. Trzęsącą się furką jechali do najbliższej stacji kolejowej. Tylko jeden jeden raz tedy jechał, gdyż już na pierwsze wakacje wrócił do domu pociągiem, nową linią kolejową, wybudowaną tegoż roku. Z okien pociągu miaśteczko witało przyjezdnych wieżą kościoła, las zwany Czarnym podchodził nieomalże pod samą stację. Komina cegielni i stepowych równin nie było widać.

Odkrycie to poruszyło Józefa do głębi. Słowa „pierwszy”, „ostatni”, „łos”, „przeznaczenie” zakodatały w jego znużonej głowie. Nie próbował się bronić. Coś raz na zawsze zostało zakończone, zamkał się jakiś krąg. Formułując tę trudną myśl, użył zajmków „coś”, „jakis” – bał się słów wielkich, choć teraz bardziej niż kiedykolwiek byłby na miejscu.

broni. Józef, głuchy na placz dziewczyny i podniecone głosy mężczyzn, przywał do bariery auta i w skupieniu, z uwagą patrzył na własny los.

(Upieżmość szfery, który usunął się z drogi i zatrzymał auto, okazała się zbyteczna. Umundurowani skierowali pochód w pełną drogę wiodącą przez równinny step. Jedynie zamykająca pochód postać w mundurze przystanęła i po chwilie namysłu ruszyła w kierunku stojącego na szosie auta.)

Pojawiły się domki przedmieścia. Auto zjechało na skraj szosy i stanęło. Szfer wyłączył motor. Nie wiadomo, co obudziło mężczyzn, czy nagła cisza, czy przeciągły, nabrzmiący grozą krzyk dziewczyny. Gościńcem przedmieścia ciągnął pochód ludzi strzeżony przez umundurowanych, których ręce były złożone na gotowej do strzału

Odpływający ogród

Zdarzyło się raz, że widziałam odpływający ogród, był to ogród sąsiadów, podobnie jak nasz piękny i bujny, w którym – podobnie jak w naszym – rosy owocowe drzewa. Widziałam, jak oddalał się powoli i majestatycznie w niedosiężną dali. Po południu było łagodne i ciepłe, siedziałam z siostrą na stopniach ganku, a przed nami jak na dloni oba ogrody. Wojciecha i nasz, spojone ze sobą w jeden, gdyż żaden płot ich nie dzielił (plot – mówiono – obcym byliby elementem), tylko aleja porzeczkowa zasywała je równym ściegiem.

Popołudnie łagodne, słońce leniwe i złote. Wojciech wyszedł na ganek swego domu (także domy były bliźniacze) i zawołał do nas:

– Idziemy zrywać renety!

Było tak, że wszystkie czynności ogrodnicze wykonywano jednocześnie w obu ogrodach, w ten sam dzień koszono trawę, w ten sam dzień

bielono pnie drzew, z nawyku więc zawiadamią nas o zrywaniu jablek.

Zaraz po jego wołaniu ujrzałyśmy starszą siostrę Wojciecha. Niosła w rękach wielkie wiklinowe kosze, takie, jakie stały u nas na strychu. Siostra Wojciecha nic do nas nie powiedziała, tylko zeszła do ogrodu, postawiła kosze pod największą złotą renetą, po czym wróciła na podwórze po drabinę.

– Wojtek – krzyknęła – przygotuj gazety!

Każde jabłko trzeba najpierw ostrożnie-delikatnie zdjąć z gałązki, potem ostrożnie-delikatnie owinać papierowym płaszczem, żeby nie zmarzło zimą, potem ostrożnie-delikatnie włożyć do wiklinowego kosza, a jeszcze potem – już na strychu – ostrożnie-delikatnie wyjąć z kosza i ułożyć na podłodze jeden owoc obok drugiego, ale tak, żeby się wzajemnie nie dotykały. Ta delikatna ostrożność czy ostrożna delikatność jest konieczna dla owocu.

Wojciech znikał z ganku i za chwilę wrócił z paczką gazet pod pachą. I znów do nas: – Zrywamy renety!

Siedziałysmy na stopniach ganku, czekając, aż ojciec skończy rozmawiać z panią Kaszińską i nas zawsze. Rozmowa toczyła się w gabinecie, który stał teraz zakurzony i nieużyteczny, chyba że jakiś pacjent zjawiał się wieczorem pod osłoną ciemności

z razowcem-zaphatą w koszyku. Od czasu do czasu słuchać było energiczny głos pani Kaszińskiej. Główu ojca w ogóle nie było słyszać. Mówili ze sobą już bardzo długo. Wojciech wszedł na drabinę, jego siostra stanęła pod drzewem i uniosła ramię w górę, jak gdyby szkowiała się do kujawianka albo jakiegoś innego ludowego tańca. Odebrawszy zewany przez Wojciecha owoc, pochyliła się nad koszem, po czym prostując się, znów wyciągała w górę ramię. Śledziliam uważnie ten pełen troski i czulosci taniec owocobrania. Zależało nam tylko na patrzeniu, a nie żeby słyszeć, co między sobą mówią, ale na to nie było rady. Mówili, co prawda, niegdyś i nie wszystko do nas docierało, czasami jednakże wystarczy jedno lub dwa słowa, a już wiadomo, o co mówiącemu chodzi. Puste, mówili. Zielone. Mają rację, mówili. Co będzie zimą, mówili. Mówili, że zjedliśmy wszystkie nasze owoce, gdy były jeszcze zielone, i że robiąc tak, mieliśmy rację, bo kto wie, co będzie z nami zimą. Mówili samą prawdę.

Patrzyłam uważnie, z natężeniem, aż od tego patrzenia rozbolaty mnie oczy. Słońce rozpalło na masztach drzew ogniska. Skąd mogłam wiedzieć, że to sygnat odjazdu?

Ogród Wojciecha, przyjaciela naszego dzieciństwa, drgnął nagle, poruszył się, zakolysał i zaczął wolno odpływać jak wielki, zielony okrąg.

Oddalał się powoli, lecz nieustannie, odległość pomiędzy nim a nami zwiększała się gwałtownie, malał, nikł. Odpływał w dalszą stronę, nie do po-konania.

Zrobiło mi się dziwnie i przykro, gdyż od dzieciństwa przywykałem do jego bliskości i nie wiadomo, co stałoby się za chwilę, gdyby moja siostra nie powiedziała: – Nie mruż tak oczu. Jak mrucisz oczy, zaraz poznaczy, że jesteś Żydówką. W ślad za jej słowami wszystko nagle wróciło na miejsce, ogród i drzewa, kosze i drabina, Wojciech i jego siostra. Ale kto by tam wierzył w takie powroty! Nie ja.

Głos ojca wezwał nas do gabinetu, do ener-gicznej pani Kasińskiej, która, po uzgodnieniu zapłaty, obiecała wyrobić nam kenkarty, żebyśmy mogły się ratować, żeby nas nie zabili.

Jan Krzysztof

Pracowaliśmy na Ostbahn, to była dobra praca, bo aufseherką była dziewczyna, która nas znala i którą my znałyśmy dobrze, chodziła niedaleko tej samej szkoły, ładna, czarna, okrągła, z lokami, przedtem spała z urzędnikami starostwa, teraz z Niemcami, ale to była dobra dziewczyna, tylko z nimi spała i nic więcej. No i jeszcze dlatego ta praca była dobra, że plantowanie nasypu nie jest ciężkim zajęciem, a w dodatku odbywało się ono w lesie, w bardzo ładnym lesie, pięć, a może osiem kilometrów za miastem, w ciszy, wśród drzew. A ta aufseherka wcale nie patrzyła, co i jak robimy, sie-działa pod drzewem i nudziła się, chętnie byłaby z nami pogadała, ale bała się pewnie, że straci po-sadę albo że nie wypada, więc tylko wyglądała na taką, co to ma ochotę na pogawędkę. Nie była już ładna jak dawniej, tyła, cerę miała nieczystą. Czasem, podczas obiadowej przerwy, przysiadała się

bliżej i mówiła: „Ładny ten las, prawda?” „Ładny” – odpowiadłyśmy. Była – jak się okazuje – delikatna.

I tego dnia, kiedy w mieście była akcja, nie spytała nawet, czemu nie pracujemy, czemu łopaty i kilofy leżą pod drzewem, nie patrzyła na nas, siadła na skraju polany, odwrócicona do nas plecami, a my leżałyśmy w trawie, nikt nic nie mówił, czekaliśmy, aż odezwie się dudnienie pociągu, bo wtedy będzie już wiadomo, że jest po wszystkim, choć nie będzie jeszcze wiadomo, kogo tym pociągiem wiozą, a kto się uratował. Leżałyśmy w trawie, nikt nic nie mówił, tak jak gdyby nasze głosy mogły zagłuszyć dudnienie pociągu, który przejdzie pod lasem niedaleko miejsca naszej pracy. Tylko jedna dziewczyna plakała, wcale nie najmłodsza i właśnie ta, która w mieście nie miała już nikogo, była sama. Plakała cicho, pojekując od czasu do czasu. Nikt jej nie uspokajał. Inna znów plotka wianki – dookoła rosły duże kępy leśnych dzwonków – ale co upłota jeden, to targała, a potem znów zaczynała od nowa. Całą polanę oskubała z dzwonków. Jeszcze inną gryzła chleb, powoli, z namysłem żuła go w zębach, a gdy swój zjadała, wzięła sobie bez pytania chleb innej dziewczyny i dalej żuła. Najstarsza przykładała ucho do ziemi. Bardzo cicho było w tym lesie, żadnych ptaków, za to zapach cudowny od drzew i kwiatów.

Nie było też słyszać nic stamtąd, choćby nie wiem jak natężać słuch – nie słyszać było nic. Ta cisza była straszna, bo przecież wiedziałysmy, że tam strzelają i krzyżą, i płaczą, i że tam jest rzeczna. A tu – dzwonki, leszczyna, stokrotki i jeszcze inne kwiaty, bardzo ładne, kolorowe. Tak, to właśnie było takie strasne, równie strasne jak oczekiwanie na dudnienie pociągu, równie strasne jak myśl, kogo zabrali.

Tylko jedna dziewczyna, chuda i czarna, łączyła się od gromady i leżała samotnie w cieniu leszczynowych krzaków, leżała na brzuchu i wcale nie nasłuchiwała, tylko czytała książkę. Słyszać było równomierny i łagodny szelест odwracanych kartek, ani razu nie podniósła głowy, nie spojrzała ku nam. Książka była gruba i podarta, bo kiedy w południe (pociąg wciąż jeszcze nie zadudnił) zerwał się silny wiatr, kilka kartek frunęło w górę, latały nad nami jak gołebie, a ona, chuda i czarna, biegła w kółko i wołała: „Łapcie!” Potem pozbierała kartki, uporządkowała książkę, położyła się na brzuchu, podparła rękoma głowę i znów czytała. Ta, która płakała, szlochała teraz głośniej, wszystkie reszta wiedziałyśmy, że każda chwila przybliża nas do dudnienia pociągu i że zaraz uszymy śmierć jadącą po szynach. Jedna zawołała nawet: „Mamo!”, i jeszcze kilka głosów zawałało „mamo”, bo w lesie było echo.

Aufseherka skończyła obrębiać chusteczkę, odrzuciła w krzaki puste pudełko po papierosach, wstała i przechadzała się tam i z powrotem. Raz zatrzymała się nad chudą i czarną dziewczyną, jasne było, że chce ją o coś spytać, ale nie śmiała wiadać, bo zaraz odeszła, podśpiewując sobie bardzo cicho i wciąż spoglądając na zegarek. Kiedy jednak po raz drugi znalazła się w pobliżu czytającej dziewczyny, nie wytrzymała:

– A co ty czytasz? – spytała.

Dziewczyna z widocznym wysiłkiem oderwała się od książki, spojrzała na pytającą.

– *Jana Krzysztofa*.

– *Jan Krzysztof?* – zdziwiła się aufseherka – tylko *Jan Krzysztof* i nic więcej?

– *Jan Krzysztof* – powtórzyła dziewczyna.

– Ładne to?

Tamta skinęła głową.

– O miłości?

Dziewczyna zastanowiła się (była bardzo chuda i brzydka, zamiast bluzki nosiła morską marynarkę) i odpowiedziała poważnie:

– Także i o miłości.

– O miłość! – roześmiała się aufseherka. Może dlatego się śmiała, bo lubiła miłość. – Pozyasz mi potem?

– Czemu nie – odrzekała tamta. – Dam ci, na zawsze.

– Nie, nie na zawsze, pożyczysz, oddam.

– Zamysliła się na chwilę. – Chyba ładna, skoro czytasz cały dzień, i to właśnie dziś, kiedy waszych biorą.

– Muszę się spieszyć – odpowiedziała dziewczyna. – Chcę zdążyć. Jest jeszcze jeden tom, boję się, że nie zdążę.

Przyjrzała się książce, oszacowała ilość stronnic pozostałych do przeczytania.

– Boję się, że nie zdążę – powiedziała jeszcze raz, już tylko do siebie, ale aufseherka doszła i słowa te przekonały ją do reszty.

– Musi być bardzo ładne. Jak on się nazywa? Zapomniałam... Jan Krzysztof – powtórzyła sobie kilka razy, usprawiedlwiąc się zresztą. – Bo jakbyś nie mogła mi pożyczyc, poszukam w bibliotece. – Potem zrobiło się jej przykro, więc dodała:

– Ale zdajesz, na pewno, taką grubą znówu nie jest.

Ta, która płakała, zaczęła płakać na głoś, to nie był nawet płacz, tylko zawodzenie. Najstarsza ukleika, przykładając do ziemi ucho. Ale ziemia wciąż jeszcze milczała.

Wariat

...oni wszyscy mają mnie za wariata, a ja nie jestem wariat. Tak mówi każdy, który ma złe w głowie, ale moja głowa jest zdrowa. Bóg by dał, żeby była chorą! Chore jest moje serce, ale na to nie ma rady.

Mam krywe nogi – pan widzi – i garb. Wzrost: metr pięćdziesiąt. Moja twarz jest taka, że wszystkie dzieci się jej boją, ale moje dzieci to były dobre dzieci i co dzień rano, co dzień wieczorem całowały mnie w oba policzki i mówili: dzień dobry, tato, dobranoc, tato.

Może pan doktor słyszał, że takim brzydkim ludziom rodzą się piękne dzieci? Słyszał pan? Moje dzieci były piękne. Mały jasne włosy – sam jedwab! A nogi proste, tłusciutkie jak serdelki. I ja, i moja żona, która była tylko dobrą kobietą, mówiliśmy tak: Bóg sprawiedliwy, daj dzieciom to, czego my nie mamy ani za pół grosza... Troje ich

było, i same dziewczynki. Najstarsza siedem lat, ostatnia – trzy.

Jestem śmieciarz! Zamiatałem ulice, było co zamiatać, i to był ciężki chleb, panie doktorze, ten smród wdychać. Domyć się potem w łaźni nie mogłem. W tej łaźni. Moja najstarsza poszła już do szkoły i świadectwo przyniosła od góry do domu same celujące. W szkole wołali czasem: twój tato śmieciarz, ale ona... złote serce... Takie dzieci... no, panie doktorze, można zrozumieć? Nie można.

Zamiatałem potem w getcie, ale to już się tylko nazywało, że zamiatałam. Szkodziło komu to śmiecie? Miałem miotłę i z ta miotłą chodziłem. Dzieci były głodne i jak tak chodziłem, to się czasami coś znalazło na... pan wie... Czasami ktoś dał. Młodsze nie rozumiały, ale starsza... ho, ho... złote dziecko. Tak samo co dzień dzień dobry, co wieczór dobranoc. Mówilem jej: śpij spokojnie... Spokojnie...

Jak była pierwsza akcja, to mówili, że mnie wezmą, bo brali kaleki, a ja mam garb i jestem kurzel. Schowalem się na dach.

Panie doktorze! Jak była druga akcja, tośmy uciekli do lasu.

Jak była trzecia, to ja chodziłem z miotłą po ulicy, bo pracę zaczynałem o piątej rano, a akcja zaczęła się o piątej trzydziestej.

Pan wie, jakie to są miotły? Z wikliny, długie, geste. I pan widzi, ile mam wzrostu? Metr pięćdziesiąt.

Jak auta zajechały na plac przed łaźnią, to ja kucnąłłem w kąt między dwa domy i miotał mnie zakryła. Nikt, ani SS, ani Ordnungsdienszt nie po myśleli, że tam jest człowiek, bo tam stała miotła. Trzęsem się tak, że ta miotła się chwiała. Słyszałem wszystko, bo zamykały ich w łaźni, a dopiero potem ładowali na auta. Mówilem: daj Boże, daj Boże. Sam nie wiedziałem, co ten Bóg miał dać. Albo ja wiedziałem, czy ten Bóg jest? Skąd...

Pan wie... ktoś biegał, uciekał i ręką traçał miotłę. Ona upadała i teraz gdyby ktoś spojrzał w kąt, to byłby mój koniec. Baledem się ją podnieść, bo już prowadzili ich do aut.

Panie doktorze! Na pierwszym auctie stały moje dzieci, moje trzy... Widzialem, że starsza wie, ale że tamte płaczą ze zwykłego strachu. Nagle przestały płakać i najmłodsza – trzy latka! – za wołała: Tato, tato, chodź do nas! Widziały. One jedne odkryły mnie w tym kącie. Tylko ich oczy. Panie doktorze! – no i co? Ojciec... wyszedłem, pobiegłem do nich i razem... tak?

A ja przyłożyłem palec do ust, zagryzłem go ze strachu i trząsem głową, że nie wolno wołać, żeby były cicho – szal!

Dwie młodsze jeszcze raz zawołały, ale tamta, moja pierwsza, zakryła im usta dlonią. Potem już były cicho...

Niech mi pan da teraz to zaświadczenie, że ja nie jestem wariat, bo wyrzuca mnie z pracy i zamkną w szpitalu.

Albo... niech mi pan da lekarstwo – takie, żebym nie musiał się chować i krzyczeć: Idę! Ja idę!... bo one tego już i tak nie słyszą.

Aryjskie papiery

Dziewczyna przyszła pierwsza i usiadła w głębi sali, koło bufetu. Głośno rozmowy, brzęk kieliszków i krzyki w kuchni graly w uszach męczącym szumem, musiała na chwilę przymknąć oczy. Wtedy wydało jej się, że jest nad morzem. Dym wisiał w powietrzu gęstą mgłą i snuł się pasmami w kierunku warzącego wentylatora. Siedzieli tu przeważnie mężczyźni i na ogół pili wódkę. Dziewczyna zamówiła herbatę, ale kelner nienawykły do tego rodzaju trunków przyniósł piwo. Było słodkie i pachniało stęchlą boczka. Upila lyk, biała pianka siadła jej na wargach. Starła ją szybko wierzchem dłoni – w zderowaniu zapomniała chusteczki.

– Może nie przyjdzie – pomyślała z ulgą, ale zaraz przeleknęła się, bo gdyby nie przyszedł, wszystko byłoby skończone. Potem zaczęła się bać, że ktoś ją pozna, i najchętniej byłaby się schowała za kotarę ostaniającą drzwi toalety.

Kiedy wszedł, nogi jej zadrżały, musiała silniej wesprzeć się obcasami o podłogę.

– Jesteś już, to dobrze – powiedział mężczyzna i zdjął płaszcz.

– Setka! – zawołał w stronę bufetu – tylko szybko!

Był wysoki, dobrze zbudowany, o ogorzałej twarzy i nieco mięsistych policzkach, ale przystojny. Przekroczył czterdziestkę. Ubranie pierwszorzędnie skrojone, krawat dyskretny w barwach i wzorze. Kiedy wziął do ręki kieliszek, spostrzegła, że ma brudne paznokcie.

– No i?... – spytał i popatrzył na dziewczynę, która w granatowym, prostym płaszczu wyglądała jak dziecko.

Jej oczy były czarne, w gęstej oprawie brwi i rzęs, piękne oczy. Przelknęła ślinę i powiedziała:

– Dobrze.

– No widzisz – rozesmiał się – tak to rozmien. I wilk syty, i owca cala. Było o co robić cegiele! Miałabyś już wszystko załatwione. Siedział zwrócony do niej bokiem i patrzył spod oka, ukosem.

– Może coś zjesz? Tu jest podle, ale sama rozumiesz, że do innego lokalu nie mogłem cię zaprosić. Bo w takiej knajpie nawet szpice są zalańi.

– Nie chcę jeść.

– Panna się enerwuje – znów się zaśmiała. Jej nogi wciąż drgały jak po długim marszu, nie mogła ich uspokoić.

– No, zjemy co? Warto oblać...
– Nie.

Bała się, że zemdleje, bo było jej słabo, raz zimno, raz gorąco. Chciała wszystko szybko skończyć.

– Czy pan ma gotowe... przyniosłam pieiądze...

– Co za pan – dziewczyno! Piliśmy już bruderszaft, a ty teraz właśnie mówisz mi pan! Koń by się uśmiał! Mam wszystko gotowe. Murowane. Żadnej lipy – pieczętki, metryka, *alles in Ordnung!* Kelner, placic!

Wziął ją pod rękę, a ona pomyślała, że byłaby nawet dobrze mieć kogoś, kto by ją tak prowadził. Byleby nie ten.

Ulica była pusta i ciemna, dopiero kiedy doszli do rynku, latarnie rozwidniły zmrok i pokazali się przechodnie. Myślała, że wsiądę do tramwaju, byłoby szybciej, ale minęły przystanek i poszli dalej piechotą.

– Ile masz lat, szesnaście, co?

– Szesnaście.

– Jak na szesnaście, jesteś stanowczo za chuda i za niska. Ale ja lubię chude, nie lubię u kobiet tłuszczu. Zaraz mi się spodobałaś, jak tylko

pryszła do pracy. I zaraz wiedziałem, coś ty za jedna. Kto wam robił takie papiery? Partacka robo-ta. Na te moje – możesz jak w ogień. Nawet z twoimi oczami. Ile im matka dala?

– Komu?

– Tym facetom, co was szantażują.

– Dala pierścionek.

– Duży?

– Nie wiem.

– Karat? Dwa?

– Nie wiem. Ładny był. Babki.

– Aha, babki. Pewnie duży kamień. Szkoda. No widzisz, od razu zobaczyłem, że masz zmartwienie, tylko nie wiedziałem, że przyznasz się tak z miejsca. Będź co bądź... Dobrze, że na mnie trafiasz, idę ludziom na rękę. Każdy chce żyć. A czemu od razu się przyznasz?

– Było mi wszystko jedno.

– Gadanie! Wiedziałas, że mi się podobasz – co?

– Może. Nie wiem.

– A czemu twoja matka wydała z rąk papiery?

– Powiedzieli, że chcą coś sprawdzić, i zabrali.

– I powiedzieli, że jak dostaną forse, to zwrócią. Tak? – zaśmiała się. – To byli ciągle ci sami, co do was przychodzili?

– Tak.
– No pewnie. Jak się da pierwszy raz, to po tem ciągną. Pewnie dobrze się oblowili. Jaki dali termin?

– Pojutrze. Ale my już naprawdę nie mamy pieniędzy. Te dla pana to ostatnie...
Wprowadził ją do bramy, weszli na trzecie piętro. Schody były brudne, pachniały siuśkami.

– To znaczy, że jutro chcesz jechać – i dał – napiszesz mi adres, przyjadę, wpadnę mi w oko.

Pokój był czysty, porządnie umebłowany. Patrzyła na białe żelazne łóżko, na którym leżała męska piżama w wiśniowe pasy. Jak zwymiotuję, myślała, to mnie wypędzi i wszystko na nic.

– Proszę, niech mi pan da te dokumenty, zaraz wyjmę pieniadze – powiedziała głośno.
– Pan... pan... Jak się z kimś idzie do łóżka, to nie ma żadnego pana! Schowaj forse, mamy czas.

To na pewno nie trwa długo, myślała, nic się nie boję. Mama się ucieszy, kiedy przyniosę papiry. Powinnam była to zrobić przed tygodniem. Bыbyśmy już w Warszawie. Byłam głupią. On jest nawet miły, zawsze był dobry dla mnie przy pracy, a mógł donieść...
– Nie stój tak, moja mała...

Siedział na łóżku i zdejmował buty, kiedy zdjął spodnie i złożył je starannie na kant, odwróciła głowę.

– Ja... zgaszę światło – powiedziała. Uszata jego śmiech i zrobiło się jej bardzo gorąco. Po godzinie zapukano do drzwi.

– Kto tam? – zakrzyknął z łóżka.

– To ja, mam interes, otwiera!

– Cholera z interesem, w samą porę! A co tam?

– Przez drzwi nie będę gadał. Masz kogo?

– No...

– To ważny interes i trzeba by szybko, bo mogą nam sprzątać przed nosa. Szkoda forsy.

– Ubieraj się – powiedział mężczyzna. – Szataś, do mnie ktoś z interesem. Chwili spokoju człowieka nie ma! Nie rób takiej pogrzebowej miny, nie ma czego żałować! Fajna babka z ciebie będzie! No, tu masz: metryka, kenkary...

Liczyl zgrabnie, nie śliniąc palców. Ledwo stała na nogach i znów zrobiło się jej niedobrze. Schowała dokumenty do torebki, mężczyzna otworzył drzwi, poklepał ją po ramieniu. Ten drugi, który siedział na schodach, odwrócił się i przyjrzał ciekawie.

– A co to za dziewczyna? – spytał, wchodziąc do pokoju.

– A, taka kurwa.

– Myślałem, że dziewczica – zdziwił się, – Blada, poplakana, chwiejna...

– Albo to dziewczice nie mogą być kurwami?

– Filozof z ciebie – rzekł tamten i obaj się roześmiali.

Drugi skrawek czasu

Pierwszą akcję, zwaną jeszcze łapanką, dzieli od akcji drugiej, po raz pierwszy nazwanej przez nas prawidłowym terminem, rozległa przestrzeń obydwu czasów – starego i nowego. Bokiem czas nowy nie od razu wypart zadomowiony w zwyczajach i myślach czas stary, był to proces powolny i ledwie dostrzegalny, nieubłaganie jednak konsekwentny, który ostatecznie dokonał się po drugiej akcji, zaopatrzonej ponadto w komentarz określający bliżej jej charakter.

Przestrzeń dzieląca obie akcje była połączonym. Zepchnięci na granicę czasu starego, przesuwaliśmy się z wolna, centymetr po centymetrze w głąb nowej strefy, po stokroć zwracani z drogi przez złudne nadzieje i pokrętne kalkulacje, dopóki – sami nie wiedząc, jak do tego doszło – znaleźliśmy się w pełnej władzy czasu nowego, obłeżeni przezeń definitywnie, a tak przemyślnie,

że w początkowym stadium nikt z nas nie zdawał sobie sprawy ze stanu oblężenia.

Przy ocenie sytuacji stosowaliśmy bezwiednie metodę uproszczeń, nazywając potocznym językiem owo spychanie centymetrem po centymetrze w kierunku nowej strefy „szykanami”, nie przewidując, że dozowanie i stopniowanie centymetrów szykan oswoi nas z nimi, wyhoduje kategorie myślenia i reakcje, które w czasie starym uznano bez wątpienia za szaleńcze.

Na co dzień zachowaliśmy jeszcze dawne nawykii obyczaje – jak rozbieranie się do snu, spożywanie posiłków przy wspólnym stole – i tylko dorzuśliśmy do nich nowe. I tak, by posłużyć się przykładem najprostszym, poniechaliśmy stereotypowego powitania czy też zagajania rozmowy słowami: jak się masz? co słyszałeś? lub: ciepło dziś na dworze, i zastąpiliśmy je zwrotami w rodzaju: w T. była akcja, czy w mieście spokojnie? lub: w obozie Reckmanna zabili dwóch chłopów. Po czym częstowaliśmy gości herbatą parzoną z płatków ogrodowej róży lub machorkowymi papierośami, lub też pęcakiem, który stanowił wówczas podstawę pożywienia.

Nasz słownik napęczętał nieznanymi do tymczas wyrazami oraz dziwnymi skrótami przedługich terminów, a słowo „akcja” nabralo rangi słowa naczelnego, dominującego w tym czasie,

jaki niektórzy – popelniając pomyłkę naiwnych – zwykli byli nazywać czasem wojennym.

Przestrzeń pomiędzy pierwszą akcją a drugą była rozległa. Liście opadły z drzew, śnieg synał obficie i kra ruszyła na rzecze płynącej przez miasto leniwym nurtem, tworzącej wielkie rozlewiska w pobliżu miejscowości łaźni, przeznaczonej w noc drugiej akcji po raz pierwszy, lecz nie ostatni, na spichlerz, w którym przed dalszym transportem składowano ludzki plon.

Była to noc ruszania kry. Z hukiem pękał lód, woda szumiała i potężny głos rzeki dobiegały z ogrodu stumiił kroki człowieka – ujrzaliśmy go nagle, wyrósł na progu balkonowych drzwi zdyszany i drżący, jeszcze nie powiedział słowa, a już odgadliśmy, pojemy uczniowie nowego czasu, że się rozpoczęło. Zdyszany i drżący wszak na powrót w ciemność, by za chwilę wynurzyć się na progu innego domu spod gwiazdy Dawida niczym postaniec z wieścią „gore”.

Nie wiedzieliśmy jeszcze, że rozpoczęta akcja jest akcją specjalną, zaopatrzoną w komentarz, który ją od poprzedniej i następnych odróżnia, i wszyscy – starsi i młodsi – po krótkich, bezradnych okrzykach wybiegliśmy z domu w ogromny szum rzeki, w zawiesistą ciemność, powierzając swój los nagim ogrodowym krzakom.

Biegliśmy gęsiego ścieżką rozmokłą, podszystą wodą, w belkocie fali i trzaskach lodu, póki nie osadziło nas w miejscu wołania. Ktoś wołał: wracajcie.

Kto wołał? Kto, jakimi słowami zawiadał nas o owym komentarzu i mówił: ona was nie tyczy, jesteście młodzi i zdrowi na ciele i umyśle. Nie wiem. Ciemna plama, żadnego obrazu, żadnego słowa do chwili, kiedy odnайдę siebie siedzącą w kuchni, na ławce pod oknem.

Siedzę na ławce, w ręku trzymam kawał gliniastego chleba, świeczka dogorywa, kobiecy krzyk i zaciśnięte na ramieniu palce.

Akcja starych, chorych i kalek.

Ulga musiała być ogromna, ulga nowego czasu, ciężar wyroku nagle odjęty – nie pamiętam tej ulgi, ale świadczy o niej bezspornie moje siedzenie w kuchni z chlebem w ręku, kruszonym, a nie jedzonym, w świetle wątej świeczki, jednym blasku, który rozpraszał mrok.

Był jeszcze jeden blysk – cienki i krótki, trwający niewiele ponad sekundę, dwie, dostaćcejnie jednak dugo, bym dojrzeć zdolała palce zaciśnięte na ramieniu okrytym poszarpanym barchanem i kobiecą twarz. Blysk, poprzedzony równie cienkim, ostrym ptasim krzykiem, który nadciągał ulicą, im bliższy, tym bardziej ptasi, nie z gardła ludzkiego.

Przygnęłam do szyby, miałam nadzieję, że to nocny ptak, rozplaszczyłam na szybie twarz, zwilgotniała od potu.

W ślad za krzykiem nadbiegły kroki, najpierw dalekie, potem coraz bliższe, nierównomiernie, raz po raz ustające w biegu, tak jakby biegnały, nabrawszy rozpędę, nagle hamowały, a potem pchnięty sila, znów ruszał kłusem. Towarzyszył im nieustanny krzyk, który teraz, kiedy ucho doń przywykło, nie był już krzykiem ptaka, tylko żałosnym ludzkim głosem.

Były przepchnął okryty ciemnością, bezimienny, gdyby nie cienka szpada blysku, która przeciąża noc, reflektorek, biały jak sztuczny ogień. Zaraz zgasł – ale widziałam.

Najpierw – a wszystko w sekundzie – ujrzałam ramię odziane w barchan i palce wpięte w ramię, mocne, zaciśnięte, a potem (wszystko w sekundzie) starcząca twarz Perli-rybiarki, znanej w miasteczkowiariatki, która za uzbierane żebrianiem pieniądze kupowała ryby i wrzucala je do stawu. Nikt nigdy nie słyszał jej głosu, była milcząca jak ryba. Ale teraz wołała. Wolała głośno, że nie chce iść na rozstrzał, wyraźnie wymawiała to trudne słowo, poprawną dykcją, zgłoska po zgłosce. W ostatniej chwili rozmazanego jej wrócił i język.

Kiedy wołanie ustalo i na powrót zrobiła się cisza, usiadłam znów na ławce i małymi kęsam

Przygnęłam do szyby, miałam nadzieję, że to nocny ptak, rozplaszczyłam na szybie twarz, zwilgotniała od potu.

W ślad za krzykiem nadbiegły kroki, najpierw dalekie, potem coraz bliższe, nierównomiernie, raz po raz ustające w biegu, tak jakby biegnały, nabrawszy rozpędę, nagle hamowały, a potem pchnięty sila, znów ruszał kłusem. Towarzyszył im nieustanny krzyk, który teraz, kiedy ucho doń przywykło, nie był już krzykiem ptaka, tylko żałosnym ludzkim głosem.

Były przepchnął okryty ciemnością, bezimienny, gdyby nie cienka szpada blysku, która przeciąża noc, reflektorek, biały jak sztuczny ogień. Zaraz zgasł – ale widziałam.

Najpierw – a wszystko w sekundzie – ujrzałam ramię odziane w barchan i palce wpięte w ramię, mocne, zaciśnięte, a potem (wszystko w sekundzie) starcząca twarz Perli-rybiarki, znanej w miasteczkowiariatki, która za uzbierane żebrianiem pieniądze kupowała ryby i wrzucala je do stawu. Nikt nigdy nie słyszał jej głosu, była milcząca jak ryba. Ale teraz wołała. Wolała głośno, że nie chce iść na rozstrzał, wyraźnie wymawiała to trudne słowo, poprawną dykcją, zgłoska po zgłosce. W ostatniej chwili rozmazanego jej wrócił i język.

Kiedy wołanie ustalo i na powrót zrobiła się cisza, usiadłam znów na ławce i małymi kęsam

żuham gliniasty chleb, rodzinna porcję na najbliższe dni.

Za oknem zarysowały się kontury świerków i zębata linia płotu. Wyszłam na werandę, otworzyłam drzwi, stanęłam na progu. Powietrze było świeże i wilgotne, szum rzeki złagodnił, wiocznie woda przez noc opadła. Nad uliczką blado polaskiwał świt. Pianie kogutów przerwało ciszę i zaraz potem z głębi uliczki wyłoniły się trzy postacie. Były to trzy kobiety. Dwie młode prowadziły pod rękę siwą staruszkę o malutkiej, trzęsącej się główce. „Już po wszystkim, niech mama przestanie się bać, mama żyje” – usłyszałam głos jednej z młodych, a druga, odwróciwszy się do mnie, powiedziała:

– Ukrłyśmy mamę w kopcu kartofli.

Nazajutrz przeciekły pierwsze wieści. Po chodziły od polskich kolejarzy, mówily o pociągu złożonym z towarowych wagonów bielonych gąszczonym wapnem i wymieniały nazwę miejscowości: Betłec. Nie słyszeliśmy o niej nigdy. Przywodziła na myśl popularną piosenkę, która zaczynała się od słów: „Miasteczko Betz, kochany mój Betz”, ale okazało się, że są to dwie różne miejscowości.

Ukryci w ciemnych wnętrzach mieszkań, z twarzami przy szybach zwilgotniałych od deszczu i naszych oddechów, my, ocaleni do następnego razu, patrzyliśmy na skazanych, którzy stali na rynku w miejscu, gdzie w dni jarmarczne rozbija swoją bude wesołe miasteczko. Ustawieni w czwórkę, czekali na rozkaz wymarszu.

A deszcz dalej padał, nie ustąpił ani na chwilę przez całą noc, która przetrwa w pamięci ocalonych jako noc starców. Bowiem ci, którzy stali w czwórkach, to byli ludzie starzy i sterani, i wielu z nich z trudem zapewne dotarło do celu, jakim był zielony wóz opodal stacji kolejowej, gdzie dawniej nasze dzieci, a ich wnuki zwykły jeździć na sankach.

Patrzyliśmy także na esesmanów. W długich pelernach chroniących ich przed deszczem, w wysokich błysszczących butach, przechadzali się

sztywnym krokiem, rozpryskując błoto dokoła starców, a jeden z nich, najmłodszy, wciąż biegął na drugi koniec rynku, strawał pod daszkiem nad wejściem do apteki i wypatrywał. To wypatrywanie budziło w nas niepokój, a i na twarzach esesmanów rosło znierpliwienie, obojętni zostali tylko starzy ludzie czekający na rozkaz wymarszu.

Wreszcie, kiedy młody esesman po raz czwarty pobiegł pod daszek apteki i wykrzyknął uradowany coś, czego nie mogliśmy doszyszeć, a co było, sądząc z jego podniecenia, radosną nowiną – ujrzaliśmy wjeżdżającą na rynek furmankę gminy i leżące na niej łopaty. Ujrzaliśmy także, jak młody esesman zdzielił furmana po twarzy, a pozostały okrałyli czarnym pierścieniem ustawnionych w czwórki.

Wtedy to (starcy naszego miasteczka ruszyli już w drogę i przechodzili obok swych domów i ukrytych za oknami swoich dzieci i wnuków), wtedy to drzwi jednego z domów otworzyły się i na rynek wybiegła kobieta. Była to chuda kobieta, okryta chustką, niosąca przed sobą wielki ciężarny brzuch. Biegła za odchodzącymi z ręką wzniesioną ku górze gestem pożegnania. Uszyszelismy jej głos. Wołała:

– *Saj gesind, tate, tate, saj gesind...*

I wtedy my wszyscy, ukryci w ciemnościach, zaczeliśmy powtarzać: *Sajd gesind*, tymi oto słowy żegnając naszych bliskich idących na śmierć.

Rozmowa

Kiedy wszedł do izby i starannie, długo zamykał drzwi, a potem chodził od okna do stołu (dwa kroki) tam i z powrotem, tam i z powrotem, zrozumiała od razu, że coś się stało, co więcej, odgadła, że ma to związek z Emilią.

Siedziała pod piecem, bo była już zima, więc prawie pół roku minęło, od kiedy Emilia wzięła ich do siebie; nogi wsparła o wiązkę narażanego przez Michala drzewa i cicho pobrzmekiwała drutami. Robiła poniczochę z czarnej owczej wełny. Emilia ją tego nauczyła, dawniej nie umiała robić na drutach. Była jej wdzięczna, że potrafiła wyciągnąć pożyteczny nieużyteczny czas, na jaki ona, Anna, skazana była wyrokiem odosobnienia od świata i ludzi. Początkowo w ogóle była Emilią wdzięczna za wszystko i teraz też była jej wdzięczna, ale już w inny sposób, w sposób zimny, wykonypowany, w sposób zimny.

Denerwowały ją kroki męża, jego wysokie oblocne buty, jego kurafka, która była kurtką męża Emilia zaginionego na początku wojny, jego ogorzła twarz, też nie jego właściwie, bo dawniej był blady, jego słowiańska twarz, całkiem niezwykła w rodzinie śniadych i kruczowłosych.

Więc dlatego, że ją denerwował, a nie dla tego, by mu pomóc, nie unosząc głowy pochylonej nad drutami, spytała pierwsza:

– Czy to o Emili?

– Skąd wiesz? Co wiesz?

Gwałtowność, z jaką zapytał, i to, że stanął jak wrośnięty w ziemię, przekonały ją, że nie omila się.

– Wiem. Mam bardzo dużo czasu, myślę sobie o różnych rzeczach. Od razu wiedziałam, że tak będzie. Raz jeden stalam w oknie – nie bój się, nikt mnie nie widział – i obserwowałam ją.

– Anno...

– Widziałam, jak patrzy na ciebie... jej ruchy, jej śmiech, to było całkiem wyraźne...

– Nie dla mnie. Nie miałem pojęcia do...

– Dlaczego jesteś tak bardzo wzburzony? Dokoncz. Pomówmy spokojnie. Więc nie wiedziałeś do czasu...

– Odlóż druty – powiedział ze złością. – Nie mogę znieść tego brzęczenia. I popatrz na mnie, nie mogę w ten sposób rozmawiać.

– A ja mogę. To brzęczenie mnie uspokaja. To bardzo dobra rzecz, taki cichy, monotonny brzęk drutów. Ja mogę przy tym rozmawiać. Ja mogę wiele rzeczy. Więc nie miales pojęcia...

– Anno, dlaczego jesteś taka?

– Więc nie miales pojęcia do chwili...

– Gdy mi sama powiedziała.

– Wzruszając! I cóż ci powiedziała?

– Powiedziała, po prostu.

– Że nie może już dłużej, że ciągle jesteskie razem, a ona od trzydziestego dziewiątego roku, od kiedy jej mąż nie wrócił z wojny, żyje w samotności, biedaczka. Czy tak?

– Skąd wiesz?

– A widzisz, wiem. Kiedy to było?

– Przed miesiącem. I przez cały miesiąc byliśmy od światu do nocy razem w polu, razem podrzewo do lasu, razem po zakupy do miasteczka. Wiesz... ty naprawdę masz świetny wygląd, a ona jest bardzo bystra, spostrzega to zaraz pierwszego wieczoru: „Będziesz pan uchodził za mego kuzyna, z pana wykapany ekonom”. Nigdy nie działałam w tobie ekona, ale to pewnie dlatego, że w ogóle nie widziałam w życiu ekonomów, tylko o nich czytałam. Mnie też trafnie osądziła: „Z pani twarzą – ani kroku za drzwiami”.

– Niesprawiedliwa jesteś, Anno, nie-wdzięczna...

– Wiem, wiem. Czy ty z nią...

– Nie.

Srat oparty o ścianę, ogorzały i tak wyso-ki, że głowa niemal sięgała sufitu, w obłożonych butach, w kurtce męża Emillii. Pachnie powie-trzem – pomyślała. I jeszcze – zmienił się, nie ten sam.

– Przestań na chwilę! – krzyknął. – Odłóż tę poniższoche! Odchodzimy stąd. Musimy odejść. Już, dzisiaj, zaraz!

Wcale nie chciała zaprzestać szermierki drutami, wypadły jej z rąk mimo woli. Przez jej ciało przebiegło ciche, ledwie dostrzegalne drżenie. Znala to.

– Odchodzimy? Dlaczego? – spytała nie-śmiały, drzącym głosem i zaraz zaczęła dygotać. Przedtem, zanim Emilia wzjęła ich do siebie, za-wsze tak dygotała. – Dlaczego, Michał?

Nie odpowiedział.

– Michał, Michał, dlaczego? Ona nas wyga-nia? Dlaczego ona nas wygania?

– Musimy iść, Anno.

– Ależ, Michał, na litość boską, dokąd? Dokąd? Nie mamy dokąd iść, nie mamy nikogo. Z moją twarzą... bez pieniężny... Ja nie potrafię, przecież wiesz...

– Ja wiem, Anno, ale musimy...

– Pomów, popros...

Nagle uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Przez krótką chwilę zdawało się, że krzyknie, po-płoch, przerażenie były w jej twarzy, potem rów-nie nagle spuściła powieki i wyprostowała się. Nie dygotała już. Siedziała sztywna i w czarnej sukni, z czarnymi gładko zaczesanymi włosami przypo-minała miniszkę. Podniosła z podlogi poniższoche. Wprawiła druty w ruch, jej białe ręce zatańczyły szybko i rytmicznie w takt uderzeń metalowych paleczek. Zaciśnęła usta w poziomą, siną kreskę.

– Dobrze – powiedziała po chwili.

Nie widziała, nie mogła widzieć, bo gło-wę miała pochyloną, fali czerwieni, jaka przeszła przez twarz mężczyzny i pozostawiła ją o odcięń bledszą. Ale słyszała jego głośny oddech.

– Dobrze – powtórzyła. – Możesz jej po-

wiedzieć, że wszystko w porządku.

– Anno...

– Idź już, proszę. Na odgłos zamkniętych drzwi lekko drgnęła, ale nie odłożyła roboty ani nie podniosła oczu. Sie-dziąła sztywna, wyprostowana, druty cicho brzę-czą. Jej wargi poruszyły po chwili bezgłośny szept. Liczyła oczka.

Pies

Nasz pies nazywał się Czing. Nazwaliśmy go tak, ponieważ tego dnia, kiedy zjawił się w naszym domu, gazety przyniosły na pierwszej stronie wieści o potyczkach chińsko-japońskich. Po długich naradach – Rex? Lux? Ami? Kajtek? – pozostaliśmy przy chińczyźnie także dlatego, że szczeniak zezował, co – jak stwierdziła Agata – czyniło go podobnym do Kitajca. Agata Kitajców na oczy nie widziała, porównanie pasowało niczym pięść do nosa, ale sugestia podziąła.

- Rzeczywiście – wołałyśmy – Chińczyk ma skośne oczy i zezuje!
- Chińczycy nie zezują – dociął starszy, bo już czternastoletni kuzynek.
- Ale mogą – zdecydowała moja siostra.
- Kitajec wykapany – przypieczętowała dyskusję Agata.

Czing, zrodzony z matki Santuzzi, raso-
wej foksterierki wetternarza-melomana, wdał się
w swego ojca i już po kilku tygodniach okazało się,
że rośnie z niego uroczy kundel. Po foksterierach
wziął tylko kształt pyska, o czym zapewniał nas
domorosły kynolog, sąsiad-sędzia, i na jego zdanie
powoli wywiąły się później nieraz, kiedy wypro-
wadzałyśmy Czinga na spacer na linewce, a dzieci
wołały za nami:

– Kundel na sznurku!

– Ale ma czaszkę foksteriera – replikowały-
śmy nie bez dumy.

– A tyłek? – pytały dzieci.

Czing umiał służyć, dawać łapę, aperto-
wać. Wszystkie rozkazy spełniał posłusznie, bez
entuzjazmu jednakże czy zaparu, raczej ze smut-
ną rezygnacją, jaką filozoficzną zadumą, którą
pierwsza bodaj zauważała Agata. Wnosząc pewne-
go dnia półmisek z dymiącymi jeszcze pierogami,
oznajmiła:

– Ten Czing to jakby filozof.

– Jakiego kierunku? – próbował zakpić
oczytany kuzyn.

– Smutnego – odparła rzeczowo Agata.

Pies był smutny, nie ulegał wątpliwości.
Nie uganiał się po ogrodzie, gardził kościami do za-
bawy i specjalną pileczką, którą otrzymała w po-
darunku, nie mówiąc już o kurach czy wróbłach,

kręcących się cały dzień po podwórzu. Najczęściej
zastać go można było na tapczanie, na wlochatej
i miękkiej gliniańskiej derce. Wodził wzrokiem za
muchą spacerującą po oknie, a na pieszczoły
„no co, Czingusiu, coś taki smutny?” zawodził
cichutko, tklwie, głosem klarnetu.

W wieku dwóch lat przeniósł się na stałe do
slużibówinki, sypial z gospośią, dzięki czemu zdobył
nowy przydomek „kochanka Agaty”. Agata kocha-
ła go rzeczywiście. Starszawa, przekwitła w staro-
panieństwie, przeleżała całe uczucie na zezowatego
Kitajca, nianczyła go jak dziecko, doszło nawet do
tego, że smażąc konfitury, trzymała psa w ramio-
nach, nie zważając na nasze uwagi o higienie.

– Do ronda nie włazi – kwitowała wszel-
kie perswazje, oburzona oschłością naszych serc,
stokroć bardziej gorszącą w jej oczach niż nie-
przestrzeganie czystości. W okresie wojny nasze
zainteresowanie Czingiem ozięgło gwałtownie,
prawie że nie zwracałyśmy na psa uwagi i tylko
wieczorem, kiedy kładłyśmy się spać, pełne lęku
przed nadchodzącą nocą, mając ubranie i bieli-
znę przygotowane w ten sposób, by je wdziać jak
najszybciej, zjawiała się Agata z Czingiem siedzą-
cym jak dziecko na jej zgiętym ramieniu i mówiła:
Czing, pocatuj na dobranoc. I Czing szczekał ci-
chutko, ledwo, ledwo merdat ogonkiem, po czym
lizał nas w policzki. Były to ceremonie ogromnie

denerwujące – jaka noc mogła być dobra? Kto miał cierpliwość do psa – ale że kuzyna, który umiałby Agacie dociąć, już nie było, bo go zabili podczas pierwszej akcji, znośliwszy je do czasu, gdy Agata wraz z Czingiem odeszła na wieś, a my do getta. Przedtem jednakże Czing złożył nam dowód wierności swego serca. Był to egzamin, przy którym padło w owsyach czasach o wiele więcej ludzi niż zwierząt. W przededniu obu przeprowadzek odbyła się w miasteczkę akcja, najdłuższa z duchczasowych, dowodząca niesychnanej wprost rozciągliwości pojęć takich, jak okrucieństwo i bestialstwo.

Ukryliśmy się – siedem osób – w pominęciu stżąącym niegdyś za chlew, któremu, poza wszelkimi innymi właściwościami schronu, brakło także i drzwi. W przeszłości musiały być nawet solidne, świadczyło o tym łukowate sklepienie nad otworem i wystające zeń haki i gwoździe. Schron bez drzwi jest oczywistym szaleństwem. Niemniej uratował nas wówczas między innymi właśnie brak zamknięcia. Widząc zamknięte drzwi, Niemyj przeszukujący podwórze i zabudowania gospodarskie pełnili by je bez wątpienia, wydając tym samym wyrok pełzowej śmierci na siedem osób, które siedziały na resztach słomy zachowanej z okresu świń. Skoro jednak spostrzegli ziejącą czernią dziurę po wywalonych drzwiach, dzurę

ledwie że zakrytą stertą suchych, bezlistnych gałęzi, ominęli ją z czystym sumieniem, nie podejrzewając istnienia ukrytych wewnątrz osób. Chwila, kiedy w ostrołuku chlewowych wrót ukazała się sywetka esesmana, a jego ręka niedbałe potrzasnęła uschłą latem jabłonką, chwila ta miała przedsmak zawieszenia w życiu, była ziemią niczyją pomiędzy życiem a śmiercią.

To, że Agata na wrzaskliwe pytania odpowiadała uparcie: – *Ne znaju, ne znaju* – było jasne, samo przez sieć zrozumiałe, oczywiste. Tak oczywiście, że niedoceniane, jak to często bywa w stosunku do kochających nas wiernie. Ale smutny, lękiwy, już niekochany Czing-Kitajec?

Odebrał go z rąk Agaty, uprzedzając, by słówkiem się doń nie odzywała, nakarmili kielbasą, którą – wygłodzony – chętnie zjadł, potem zaś lagodnym głosem poprosili, by szukał „pana”.

– Gdzie pan... pan... pan... pan... pan...?

Czing patrzył na nich spokojnie (Agata przymierała potem, że głową wykonał przeczący ruch) i ani drgnął. Patrzy w oczy i siedzi na miejscu. A oni kaleczą: – Szuka twoja pan... szuka twoja pani...?

Wtedy po raz jedyny w życiu trysła zeń energia, bo nie dość, że rozzszeptał się na dobre, ale jeszcze Niemca targnął za lydkę.

Siedząc w chlewie, słyszeliśmy wyraźnie pertraktacje toczące się pomiędzy esesmanami

a psem, z których ten ostatni wyszedł zwycięsko. Oberwał co prawda butem, lecz cios ten zniósł w milczeniu, tylko trząsł się potem do wieczora, podobnie jak człowiek, który po wysiłku przekraczającym siłę jego nerwów dłucho uspokoić się nie może.

Los Czinga dopełnił się tragicznie. Śmierć miał nieludzką. Nastąpiła rok później, kilka dni po naszej ucieczce z getta, i miała wszelkie cechy okrutnej i powszedniej esesmańskiej śmierci. Jej chwilą była południowa pora letniego dnia, miejscem – podwórze szwagra Agaty, która opuściwszy nasz dom, zamieszkała na wsi u krewnych. Tam właśnie, siedzącą przed chatą, zastali ją Niemcy, którzy od trzech dni energicznie nas poszukiwali i których do wściekłości doprowadzała niemożność wręczenia nagrody za schwytnanie zbiegłej z getta rodziny oraz daremne rewizje w polskich domach jej znajomych i przyjaciół.

Wynik rozmowy z Agatą dopełnił miarkę. Wściekłość, przyprawiona uczuciem nie do strącenia dla Herrenvolku – bezsilnością – musiała znaleźć ujście. W sekundę rozszerzyły ustawy norimberskie, obejmując nimi nie tylko prababki żydowskie, ale i należące do Żydów psy.

– Będziesz wisiał za nich! – krzyknęli i Agata, opowiadając to, krzyknęła także oraz dodata,

że twarze oprawców były czerwone jak piwonie w ogrodzie szwagra.

Musiata przynieść sznur. Grubego nie było, lecz i cienki wystarczył, bo pies był chudy. Kiedy gwizdneли na niego, podszedł bez oporów, trzęsąc się na ciele, jak to miał w zwyczaju. Powiesili go na czeresiowej gałęzi, po czym odjechali motocyklem, lżejsi o jeszcze jedną śmierć.

Popołudnie na trawie

Siedziałymy na trawie, Natalia, Masza i ja, pod czeresnią pełną ciemnych, słodkich owoców, w sadzie ciasnym i zaciszny. W głębi sadu stała chałupa, niewielka, uboga. Jedną izbę w tej chatpie odnajmowali od dwóch miesięcy rodzice Natalii, do której przyszły w odwiedziny.

Ojciec Natalii był głuchy i dlatego w ich dawnym domu, przy głównej ulicy miasteczka, w domu ciemnym, pełnym ciężkich mebli, mówiło się zawsze bardzo głośno. Ale tu, w izbie przy zacisznym sadzie, mimo że głuchota ojca nie uległa zmianie, obie, Natalia i jej matka, mówią szepcem. Bardzo się zdziwiłam, kiedy usłyszałam murmurando głosów, zazwyczaj donośnych, i zobaczyłam uśmiešek głuchego, zażenowanego roztraczającą się wokół niego ciszą plynącą z ruchliwych warg. Bawił się brelokiem zegarka, przesuwając go w palach jak różaniec i lekko kiwał głową. Jego twarz

nie straciła dobrodusznosci, była taka, jaką pamiętam z czasów, gdy jego bliscy natężali strony głosowe, by udostępnić mu świat zatrzaśnięty głuchotą. Niezwykły był ten szept wokół pogrążonego w ciszy, zlekceważonego – obdarowanego niewiedzą.

Matka Natalii pytała szeptem:

– Cicho jest w mieście, powiedzcie, cicho? On zaś wskazywał na sad i wołał donośnie:

– A jaki ogród tu mamy, jak tu zielono...

Matka Natalii, o ciemnej, zatroskanej twarzy, pchnęła łagodnym, lecz stanowczym ruchem głuchego męża za próg, w głąb chaty, i zamknęła za nim drzwi. Po czym znów spytała:

– Cicho? Naprawdę cicho?...

Natalia siedziała milcząca, z pochyloną głową. Na jej szyi pojawiły się czerwone plamy, takie jak przy maturze, po pisemnym egzaminie z polskiego. Z równo nad czolem pryciątą grzywką i piegami na nosie wciąż jeszcze wyglądała jak mała, grzeczna dziewczynka. Była najcichszą dziewczyną w klasie i dopiero przy maturze zaskoczyła wszystkich wypracowaniem, którego temat brzmiał: „Krajobrazy w literaturze polskiej”. Diumiony dyrektor-polonista nazwał je doskonałym esejem i, przypatrując się Natalii, jak gdyby widział ją po raz pierwszy, powiedział:

– Powinnaś koniecznie studiować polonistykę...

Szyja Natalii zareagowała na dyrektorskie pochwaly czerwonymi plamami, a stojąca obok Masza, najlepsza przyjaciółka, parsknęła śmiechem:

– Pan chyba żartuje, panie dyrektorze? Polonistykę? Jako Żydówka?

Masza była zuchwała i pyskata, całkiem różna od cichej Natalii, która po tym przelotnym triumfie zapisała się w pobliskim uniwersyteckim mieście na kursy kroju. Kroila równo rok, po roku wybuchała wojna. Ja również wyjechałam do pobliskiego miasta i po roku wróciłam. Jedynie zuchwała i sztywna Masza nigdzie nie wyjechała, bo w domu nie było pieniędzy. Dawała korepetycje.

Siedziątym teraz we trójce w ciasnym sadzie przy ubogiej chłopskiej chacie, do której przeniesili się rodzice Natalii w nadziei, że prowadzka oddali od nich zgubę – i wszystkie egzaminy, wyjazdy, powroty zostały daleko z nami, w świecie, który przestał istnieć. Dlatego też w pierwszej chwili nie zrozumiałam i także Natalia nie zrozumiała, co Masza ma na myśli, mówiąc, że nam zazdrości.

– Zazdroszczę wam tego roku – powiedziała. – Nigdy nie zazdrościłam, dopiero teraz... Teraz zazdroszczę...

Matka Natalii ukazała się na progu z talem
rzem placków z ciemnej mąki.

– To dla was, jedzcie sobie – powiedzia-
ła i jeszcze raz spytała: – Cicho w mieście? Na-
prawdę?

Natalia spojrzała na nią błagalnym wzro-
kiem.

– Mamo, proszę cię – po czym, dotykając
palcami phonującej szyi, wyjaśniła szeptem: – Mama
wciąż pyta, czy w mieście jest cicho. Tak jakby to
miało jakieś znaczenie... Nigdy taką nie była...

– Nikt z nas nie jest taki jak dawniej – roze-
śmialiła się Masza krótko i hataśliwie.

Nie znałyśmy u Maszy takiego śmiechu. Plac-
ki były twarde i bez smaku, gryzłyśmy je z trudem.

– Coś ty powiedziała przed chwilą? – przy-
pomniała sobie Natalia. – Czego nam zazdrościsz?

– Powiedziałam, że zazdroszczę wam tego
ostatniego roku przed wojną, kiedy was tu nie
było... Tego roku, który spędziłyście same. Nowe
miasto, nowi ludzie...

– Nie wiem, co ty sobie wyobrażasz, Ma-
szo... Czy nie mówilam ci, że nieraz miałam ocho-
tę rzucić to wszystko i wrócić... Kursy kroju... ach,
jakie to było nudne... Masz całkiem fałszywe wy-
obrażenie...

– Ja dobrze wiem, o czym mówię i co so-
bie wyobrażam – przerwała Masza rozdrażnionym

głosem. – I ona – wskazała na mnie – wie chyba
także...

Chciałam powiedzieć, że chyba wiem, ale
nie powiedziałam i nie patrzyłam na Maszę, tylko
na phaską równinę, nad którą zachodziło słońce.
Niebo poczerwieniało, szyby w oknach nabrąły ko-
luru słodkich czereśni. Za szybą widniała dobro-
duszną twarz ojca Natalii. Dawał nam ręką jakieś
znaki.

Drzwi chaty otworzyły się gwałtownie.
Matka Natalii tym razem nic do nas nie powie-
działa, o nic nie spytała, tylko podbiegła do furtki
i oparła się łokciami o drewniany parkan, stała
długą chwilę zwrócona twarzą w kierunku mia-
stecką.

– Wydawało mi się, że słyszę jakieś krzyki
– rzekła, wracając. – Ale nie, jest cicho.

Blask naftowej lampy rozświetlił wnętrze
izby. Ojciec Natalii otworzył okiennice i głośno za-
wolał:

– A komary wam nie dokuczają, dziewczynki?

– Komary, komary... – zezłościła się jego
żona – komary mu w głowie...

Masza pochyliła ku mnie swoją phaską,
okrąglą jak talerz twarz. Jej oczy szukaly moich.

– Opowiadają, że miałaś tam chłopca – to
prawda?

- Prawda.
- Opowiedz... czy to naprawdę takie... piękne?
- Maszo! Jak możesz... - krzyknęła Natalia.
- Czas wracać – powiedziadam i Masza poszusznio wstała.

Natalia odprowadziła nas na szosę. Wierczór był chłodny, nad polami mgła. Wracałyśmy szybkim krokiem. Mały chłopak minął nas biegiem, krzyknął po ukraińsku: – *żydów bijut* – i rozesmiał się, zadowolony ze swego żartu.

Miasteczko milczało. Tuż za mostem rozechodziły się nasze drogi i tam Masza stanęła. Jej twarz białiała w mroku jak maska.

– Nie gniewaj się... – powiedziała. – Zrozum... po prostu strasznie mi żal, że ja... nigdy... że ja już nigdy...

Skręciłam w naszą uliczkę, biegłam i już z daleka widziałam czarniejące od mroku sosny przed domem, i biegnąc, myślałam: biedna, biedna Masza, a kiedy dopadłam werandy, przytknęłam palec do dzwonka i dzwoniłam na alarm, by jak najszybciej otworzyć szufladę i wyjąć z niej znane na pamięć listy i czytać je, czytać, czytać...

Ślad

Tak, owszem, poznaje. Dlaczegoż by nie miała poznac? To jest ich ostatnie getto. Zdjęcie

– kopią amatorskiej fotografii – niewyraźne, poruszzone. Dużo bieli – to śnieg. Zdjęcie zrobione zostało w lutym. Śnieg wysoki i kopny. Na pierwszym planie ślady ludzkich kroków, po brzegach dwa rzędy drewnianych bud. To wszystko. Tak. Tu mieszkały. Poznaje te budy, dlaczegoż by nie? To były dawniej stragany jarmarczne, które przerobiono na mieszkania, no, może źle się wyraziła, po prostu zabito je deskami. Były tych bud kilkanaście, stawy po obu stronach wąskiej, do rynku wiodącej ulicy. W każdej budzie mieszkały trzy, cztery rodziny. Nieszczelne deski nie chroniły przed deszczem i śniegiem.

– Więc to jest getto... – mówi jeszcze raz, pochyając się nad zdjęciem. W jej głosie przebija zdumienie. – No, tak – dziwi się. – Jak oni tam

wtedy wytrzymali? Takie to... takie... no, trudno powiedzieć... Ale wtedy nikt się nie dziwił.

– Zrobili z nami tak, że nikt się niczemu nie dziwił – mówi głośno, jak gdyby teraz dopiero zrozumiała. Ten, który fotografował, stać musiał obok domu, w którym urzęduował Judenrat. To nie była buda, tylko parterowy dom. Trzy okna od frontu, pod dachem strych. Odsuwa ręką zdjęcie. – Wolę sobie nie przypominać...

– Więc w ostatnim stadium getto zawężo-
ne zostało do jednej uliczki?

Ano tak. Była to uliczka zwana Mięsną. W tych budach były dawniej jatki i dlatego to ostatnie getto nazywano „gettem na jatkach”. Ilu tam było ludzi? Niedużo. Może osiemdziesiąt. Może mniej.

Znów sięga ręką po zdjęcie, podnosi je do krótkowzrocznych oczu, patrzy długą i mówi:

– Widać jeszcze ślady kroków. – I po chwili:
– To bardzo dziwne.

Tedy szli. Od Judenratu, wzduż ulicy Mięsnej.

Jeszcze raz patrzy na ślady kroków, śnieg, budy. Ciekawe, kto to fotografował? I kiedy? Chyba zaraz potem. Ślady są wyraźne, a już w południe, jak ich strzelali, sypał śnieg. Ludzi nie ma – ich kroki zostaly. To bardzo dziwne.

– Nie od razu wyprowadzili ich w pole. Najpierw na gestapo – dlaczego, nie wiadomo. Taki widać był rozkaz. Stali tam, na dziedzińcu, dopóki nie przywieziono dzieci... – urywa. – Wolę sobie nie przypominać... – Ale nagle zmienia zdanie i prosi, żeby to, co powie, zostało zapisane i uwiecznione, bo chce, żeby pozostał ślad.

– Jakie dzieci? Jaki ślad?

Właśnie po tych dzieciach. A tylko ona może pozostawić ślad, bo tylko ona pozostała przy życiu. Więc opowie o dzieciach, które schwane były na strychu w Judenracie, co było surowo zakazane, za co groziła śmierć, bo wtedy żadne dziecko nie miało już prawa żyć. Były ich ośmioro, najstarsze miało może siedem lat, choć nie wiadomo, jak było naprawdę, bo one – jak je przywiezli – wcale nie wyglądały jak dzieci, tylko jak... ach...

Pierwsze lży, natychmiast wstrzymane.

Usłyszał turkot, na dziedziniec wjechała furmanka, a na furmance dzieci. Siedziały na słomie, jedno przy drugim. Wyglądały jak małe szare myszki. Przywiózł je jeden eses i ten eses zeskoczył z furmanki i bardzo łagodnie powiedział do dzieci:

– No, dzieci kochane, teraz niech każde z was podejdzie do swoich rodziców.

Spis treści

Ale żadne z dzieci nie poruszyło się. Siedziały bez ruchu i patrzyły przed siebie. Wtedy eses wziął pierwsze z brzegu dziecko i powiedział:

– Pokaż, gdzie stoi twoja matka lub ojciec.

Ale dziecko milczalo. Więc brał po kolejne dzieci i krzyczał, żeby pokazały rodziców, ale one wszystkie milczyły.

– Wieć chcielibyśmy, żeby po nich pozostała ślad.

Spokojnym głosem prosi o małą przerwę. Szklankę wody, którą jej podają, odsuwa z pobieżliwym uśmiechem. Po przerwie opowie, jak ich wszystkich rozstrzelano.

Skrawek czasu	5
Alina i jej kleska	15
Zygmunt	23
Zamknięty krąg	29
Odpływający ogród	49
Jan Krzysztof	53
Wariat	59
Aryjskie papiery	63
Drugi skrawek czasu	71
*** *	77
Rozmowa	81
Za żywopłotem	103
Pies	115
Wiosenny poranek	123
Titina	133
Śmierć Carycy	145
Kriminalrat von Cholevinsky	153
Przed lustrem	165
Zabawa w klucz	169
Czarna bestia	175
Popołudnie na trawie	189
Ślad	195